

LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 14-588.

Redakcja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 8 kwietnia 1887 r.

27 marca 1887 r.

Tom XXIII.



„WE DWORZE KSIĄDZ PLEBAN POŚWIĘCI.”

Rysunek J. Ryszkiewicza.

bez odzieży, w lachmanach — wszystkie zakłady publiczne otworzono i tłumy cisnęły się do nich. Spieszono z pomocą bez względu na stanowisko, klasę, stronnictwo, religię; widziano ludzi najbogatszych i z najlepszego towarzystwa niosących przez ulice snopy słomy; purytanie roznosili grzane wino po kościołach, kobiety arystokratyczne kłęcząły u nóg żołnierzy, którzy najbardziej ucierpieli w pochodzie, i opatrywały nogi ich zmarzłe, pokaleczone. Za przykładem Neufchâtelu poszły niebawem inne miasta; świątynie, pozamieniane w ambulanse lub sypialnie, przedstawiały miłosierdzie z najtkliwszej jego strony.

Kobiety u łoża chorych rozwinęły całe swoje anielstwo. Pewna włościanka, która z głębi Owernii przybyła pieszo odwiedzić syna, nie mogła biedaczka się uspokoić, dopóki nie wynalazła tłumacza, który podziękował mieszkańcom „w imieniu wszystkich matek”.

Po dwóch miesiącach tej serdecznej gościny, więźnie i proktorzy ich żegnali się ze łzami w oczach, jak dawni przyjaciele. Szwajcaryca zasłużyła się ludzkości: okazała się wielką, wspaniałomyślną i pełną odwagi.

GAWOREK.

## RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Wszystkie pisma warszawskie, bez żadnego wyjątku, oddały głęboki hołd zasługom J. I. Kraszewskiego. W żałobnej szacie wystąpił „Tygodnik Ilustrowany” i „Kłosy”; zrobiły one pod względem artystycznym i literackim wszystko, co tylko w tak krótkim czasie zrobić u nas było można. Wydawcy ich i redaktorowie nie żalowali trudu i nakładu. I pisma codzienne od pierwszej wiadomości telegraficznej z Genewy śledziły każdą chwilę ostatnią, a pobudką była nie tyle dokładność dziennikarska ile cześć i chęć upamiętnienia każdego słowa wielkiego człowieka. Najbogatszą skarbnicą dla przyszłego historyografa dni żałobnych będzie „Kuryer Warszawski”, który wyprzedził innych kolegów, także skrętnych, także czuwających. Oprócz wiadomości telegraficznych i od korespondentów, każda redakcja od siebie ogłosiła ocenę, wspomnienie; warto te artykuły zebrać w jedną księgę pamiątkową i dochód z rozprzedaży użyć na pomnik dla Kraszewskiego. Artykuły rozproszone a cenne znajdują się w kuryerach: Warszawskim, Porannym, Codziennym, Dzienniku dla wszystkich; w gazetach Warszawskiej, Polskiej, Wieku, Słowie. Pisma miesięczne, jak Biblioteka Warszawska i Ateneum, pomieszczą studia wyczerpujące.

Żałobne nabożeństwo w kościele Ś-go Krzyża odbyło się za zgodą wszystkich pism warszawskich, z wyjątkiem kilku, a urządzeniem całej uroczystości zajęły się redakcje „Kuryera Warszawskiego” i „Wieku” — za co składamy im koleżeńską podziękę.

Gazety i tygodniki, między niemi i nasze pismo, najwięcej wiadomości zawdzięczają nieodstępemu towarzysowi konającego mistrza—T. T. Jeżowi, który z rozrzewniającą serdecznością pielęgnował swego druha tułacza, uczynnie odpowiadając na zapytania każdej redakcyj.—I córka Jeża, panna Helena Miłkowska, zasiłała pisma ilustrowane szkicami z ostatnich chwil żałobnych;—wizerunek pośmiertny. ś. p. Kraszewskiego, jój olówka, pomieścimy w jednym z następnych numerów, w których nie przestaniemy gromadzić pamiątek i wspomnień. Jak najdłużej obcować pragniemy z człowiekiem, który oddał ziemi to, co do ziemi należało—a duchem pozostał pomiędzy nami.

W Kijowie, w miejscowym kościółku katolickim, odbyło się nabożeństwo żałobne za spokój ś. p. J. I. Kraszewskiego, staraniem p. Męczyńskiej, córki zmarłego. Katafalk przyozdobiono wspaniałą zielenią, głównie rozłożystymi palmami i wiankami z kwiatów zasuszonych. Aniołowie pochyleni nad wielkim portretem fotograficznym, otaczali go wieńcem z nieśmiertelników. Kościółek był szczelnie wypełniony inteligencją polską, której część nie mogąc się dostać do wnętrza świątyni pozostała na zewnątrz przez cały czas nabożeństwa; pomiędzy modlącymi się „byli także—według relacji „Kiewskawo słowa” — rossyianie, dla których pamięć nieboszczyka jest drogą.”

W Krakowie ku uczczeniu pamięci J. I. Kraszewskiego, jako dramaturga, przedstawiono komedią tegoż „Miód kaszte-

łański”; wieczór zakończył się obrazem z żywych osób, ugrupowanych około biustu ś. p. Kraszewskiego. Wygłoszono wiersz Asnyka, napisany na cześć Jubilata w r. 1879. Publiczność, która nie zapełniła całego teatru wbrew oczekiwaniu, powstawszy wysłuchała w skupieniu ducha echa z najpiękniejszej chwili, jaką naród zgotował nieśmiertelnemu mężowi.

W Piotrkowie modlono się w kościele farnym, w czasie nabożeństwa żałobnego, za spokój ś. p. J. I. Kraszewskiego. Świątynia, pisze „Tydzień”, przybraną została jaktylko można było najwspaniałej—katafalk otoczyły rzęsiste światła i bogata roślinność; amatorowie towarzyszyli organom śpiewem; duchowieństwo asystowało celebrantowi ks. Kobyłańskiemu; świątynia nie mogła pomieścić wszystkich, którzy pragnęli tym widomym znakiem wyrazić cześć dla pamięci zmarłego. Któreż miasto nasze, która parafia nie pomodli się pod sklepieniem swego kościoła? Któryż dwór wiejski zapomni, że najpożądającym, najmielszym gościem w wieczory jesienne i zimowe był zawsze Kraszewski?

Ś. p. Jan Heurich. Posiadając w każdym dziale sztuk plastycznych mistrzów, którzy mogą iść w zawody z mistrzami zagranicznymi, jesteście najubożsi w budownictwie, w tej muzyce skamieniałej, wedle określenia Kremera. Winą tej niezamożności naszej są okoliczności nie sprzyjające wznoszeniu wspaniałych kościołów, teatrów, muzeów... ale że nie brak i naszym budowniczym talentów, mamy tego dowód na ś. p. J. Heurichu, którego nawet domy mieszkalne, stawiane w Warszawie, odznaczają się stylem szlachetnym i oryginalnością. Poza specjalnością, którą uprawiał jako artysta i doświadczonej praktyk, zmarły położył zasługi obywatelskie na wielu polach. Gotów był do każdej pracy publicznej, do której w naszym położeniu zaliczyć należy i konkursy architektoniczne; do apelu ś. p. Heurich zawsze stawał, nie rachując na zyski materyalne, lecz powodowany miłością sztuki, która do swego rozwoju potrzebuje sług wiernych. Z pracy swój i grosza niósł także ofiarę na wydawnictwo „Przeglądu technicznego”, organu polskich inżynierów i budowniczych. Pracował w nim gorliwie, zajmował się redakcją słownictwa polskiego w dziale budownictwa; niestety, nie przeznaczone mu było dokończyć dzieła wielkiej wartości.

Warszawskie Towarzystwo wzajemnego kredytu należy do najsympatyczniejszych instytucyj finansowych, słusznie też cieszy się tytułem—instytucyi obywatelskiej. Oprócz tego herbu moralnego posiada przezorność finansową, zalecającą umiarkowanie w chwilach największego nawet powodzenia. I ostatnie posiedzenie, doroczne, pokazało jak obronną ręką Towarzystwo wyszło z zasadzek, jakie stawiało na jego kapitały przesilenie handlowe a szczególnie ruina cukrowni, owych kochanek przemysłu, którym niedawno jeszcze wszyscy oddawali wszystko co mieli w kalecie. Ostatnie posiedzenie było rodzajem owacy dla członków rady oraz dla członka zarządu — wychodzących z urzędowania. Wszystkich wybrano na nowo, powiększając siły nowo obranym, na miejsce ś. p. Trębickiego, p. T. Kowalskim, znanym agronomem. Jednomyslnie powołano na urząd członka zarządu p. J. Wieniawskiego, a jednomyslnie ta płynęła z przekonania, że tylko ktoś bardzo niechętny Towarzystwu mógł być pomyśleć o innym kierowniku. Opozycji odzywającej się zawsze z pod tych samych filarów, z tych samych krzesel i z tych samych jęczących piersi — członek zarządu odpowiadał ze zwykłą swadą, dobitnie a uprzejmie, zabijał bez oszpekania przeciwnika ranami. Posiedzenie ostatnie przekonało nas także, że niema grzesznika, któryby się nie mógł nawrócić; na posiedzenie przyszedł pielgrzym, który przez lat wiele wojując ciągle napaściami na Towarzystwo, w r. b. załazł mu za skórę same wonności, same słodycze. Uderzył się w pierś i wygłosił hymn uwielbienia dla wszystkiego, co się Towarzystwem wzajemnego kredytu nazywa. Oby z tą samą misją obszedł inne posiedzenia, na których głos zabierał, a wszystkie banki i stowarzyszenia zaśpiewają chórem lutni — nie trzeba o nikim tracić nadziei! Na tej przemianie gatunku przekonania zyskało najwięcej Towarzystwo dobroczynności, bo zasiłek 250 rs. dla przytułku żebraków; ale pracownicy biura muszą czekać na przyszłe posiedzenie, wolne od prorocstwa o czarnej, bardzo czarnej godzinie, na którą trzeba trzymać w kasie zapasową gotówkę.

**Koncert** w Towarzystwie Muzyczném, na benefis dyrektora Zygmunta Noskowskiego powiódł się najzupełniej, co było do przewidzenia. I talent i praca dyrektora zasługują na sympatyę, jaką darzą go członkowie Towarzystwa. Owoce jego trudów są widoczne: koncerty środowe stają się coraz więcej zajmującymi, członkowie mają sposobność słyszeć znakomitości zagraniczne a talenta młodociane znajdują zachętę. Wieczory Towarzystwa należą do rozrywek szlachetnych a tanich; właśnie takich nam najwięcej potrzeba.

**Koleżeńska przysługa** jest zwykle najlepszą miarą człowieka, którego społeczeństwo straciło; możemy też powiedzieć, że szacunek jakiego używał ś. p. E. Kania był najzupełniej zasłużonym. Koledzy-muzycy urządzili koncert na rzecz rodziny po zmarłym artyście; ułożeniem programu i zgromadzeniem sił odpowiednich zajął się p. L. Grossman. Nikt mu nie odmówił: pierwszorzędne talenta jak Barcewicz, Frieman, Schlözer, Zarzycki i amatorowie, między innymi utalentowana śpiewaczka p. Wejchertowa, wystąpili na estradzie. A i „Lutnia”, której szczęśliwa gwiazda świeci nad kolebką, nie odmówiła spółdziału, chociaż jej występy chóralne połączone są z wielkimi kłopotami, jak zwykle gdzie gromada działa.

**Śniegi** w tym roku zaprezentowały się wszystkim krajom Europy — nawet gaje cyprysowe i oliwne, które od dziada pradziada śniegów nie widziały, w tym roku nosiły na swych wypieszczonych słońcem południowym liściach i konarach śnieżną sukienkę. I dla krajów przyzwyczajonych do mrozów, śnieg był w tym roku nadzwyczaj hojnym; w guberniach Charkowskiej i Kurskiej potworzyły się góry śniegowe, obezsilniające maszyny parowe. Pociągi kolejowe musiały torować sobie drogę krok za krokiem, opóźniając termin swego przybycia na stacją o pół doby a czasem i o dobę całą.

**MIECZ i DYPLOMACYA** Dzień 1-go kwietnia, t. j. chwilę puśczenia lodów i otwarcia żeglugi uważają „Petersburskie Wiadomości” za umówiony termin przez regencją bułgarską do stanowczego działania w porozumieniu z resztą Europy, a pod kierunkiem tajemnym z Berlina. „Bułgaria—pisze tenże organ—przywróci na tron Battenberga. Plan ten jest tak jawny a stanowczy, że berlińskie gazety nawet urzędowe, jak „Kreuz Zeitung”, występują z zachwalstwem bezwstydnym, chcąc przez to przyspieszyć katastrofę.”

**Przeciw odnowieniu trójcesarskiego przymierza** występują wszystkie gazety rossyjskie; nie chcą one przyjaźni Bismarka, w przymierzu widzą pęta na swobodę polityki Rossyi, w uścisku ręki uczciwego meklera czują zdradę.

**Przyjęcie królestwa rumuńskich** w Berlinie i Wiedniu, nadzwyczaj serdeczne, gazety rossyjskie uważają za wciągnięcie króla Karola do koalicji Bismarkowskiej przeciw Rossyi. „Peters. Wied.” nazywają to rzeczą pewną i wymieniają nawet warunki na jakich król Karol do koalicji przystąpił — pierwszym warunkiem ma być zagwarantowanie nietykalności Rumunii. Za to król Karol ma być stróżem Dobrudży, owego klucza do wnętrza półwyspu Bałkańskiego, a więc i do Bułgarii. W tym samym celu kto inny fortyfikuje Warnę a kto inny jeszcze wciąga Turcyą do wrogiej koalicji. „Na to wszystko—słowa „Peters. Wied.”—organ kanclerza robi uwagę, że tylko wybór ks. Battenberga na księcia Bułgarii położyć może kres zaburzeniom i pronuncyamentom armii bułgarskiej.”

**Wedle słów korespondenta** „Moskiewskich wiad.” bułgarscy delegaci zamówili w fabryce Kruppa, w Essen, 25,000 bomb; inni delegaci zakupują konie w Węgrzech.

**Czarnogórze** — według mniemania „Świeta” — także się już skłania ku Austrii, zawczasu torując sobie drogę do zbawienia, wrazie jeśli wpływ habsburski zawładnie półwyspem Bałkańskim. „Świat” przypuszcza, że książę Mikołaj w celu bezpieczeństwa osobistego a nie z przekonania religijnych, przyjmował z taką ostentacją arcybiskupa katolickiego, z taką czolobitnością wyraża się o Papieżu i tak gorąco pragnie złożyć mu swą czolobitność w Rzymie. Książę—słowa tegoż organu—widząc zbliżającą się burzę a nie chcąc głową przebijać murów, woli oddać się w opiekę Austrii i Watykanowi, zdradzając przez to swych dawnych przyjaciół i opiekunów oraz swój lud przywiązanym do prawosławia.

## DZIECKO KUPIONE.

POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKE „LORDA ERLISTOUN”

przekład z angielskiego J. S.

(Dalszy ciąg.)

Znać było, że uczony profesor we wszystkiém polega na zdaniu tój cichój, łagodnej kobiety, młodszej o lat dziesięć od niego. Ale dobroć i łagodność nie wykluczały u pani Trevena energii i siły charakteru; słodkie jej oczy umiały niekiedy patrzeć surowo, usta, uśmiechające się tak mile, miały wyraz wielkiej stanowczości. Profesor słusznie mówił, że nie dałby sobie w świecie rady bez żony; była ona praktyczniejszą, energiczniejszą od niego, niby anioł stróż czuwała nad nim, odsuwając od niego wszelkie troski i kłopoty. Wyrozumiała i pobłażliwa, opiekowała się nim jak dzieckiem, a poznawszy szlachetną jego duszę, wyższy umysł i rycerskie niemal poczucie honoru, kochała go i ceniła, jak nikt inny nie umiałby go ocenić.

Oboje małżonkowie wyszli razem i, patrząc na góry ozłocane ostatnimi blaskami zorzy zachodniej, słuchali z upodobaniem melodyjnego głosu dzwoneczków, zawieszonych na szyi pięknych krów szwajcarskich.

— Szkoda, że doktor z nami nie poszedł — rzekł pan Trevena—ale spieszył się bardzo do swojej pacjentki. Widziałem, że był bardzo zakłopotany.

— Któżby tu mógł być chorym? Gospodyni nic mi o tém nie wspominała.

— Nie chce może wystraszyć innych gości.

Pogasły już gorące blaski zachodu i łagodne światło księżycy z kolei posrebrzyło gór szczyty. Śnieżne wierzchołki Ś. Gotarda odbijały jaskrawo na ciemno szafirowém tle nieba, które zdawało się wspierać na tych skalistych olbrzymach.

Nazajurz przy śniadaniu doktor Franklin siedział chmurny i milczący a na troskliwe pytania państwa Trevena odpowiedział, że całą noc nie spał.

— Dlaczego? — zawołała profesorowa i zarumieniła się, że tak nieuważne rzuciła pytanie,

— Miałem zajęcie, droga pani, zawód lekarski to niewola; ale teraz jestem na rozkazy państwa; jeżeli wyjedziemy zaraz po śniadaniu, wrócimy tu przed zmrokiem. Każę zajeżdżać powozowi.

Był to jeden z tych cudnych słonecznych dni wiosny, które w Szwajcaryi następują nieraz po największych burzach i ślotach. Niebo było jasne jak kryształ, a modre jak lazur włoskiego morza; na pastwiskach umajonych różnobarwném kwieciami świeciły krople rosy, a wieczne śniegi promieniały w blaskach słonecznych, niby pola pereł i brylantów.

Troje podróżnych gawędząc wesoło przebyło wioskę Hospenthal, lodnik Św. Anny, rzekę Reuss szumiącą groźnie w skalistej kotlinie i zaczęło się wdzierać na góry. Roślinność, zrazu tak bujna i piękna, stopniowo zaczęła niknąć i wkrótce zupełnie zginęła. Droga stawała się coraz stromszą i niebezpieczniejszą, w około piętrzyły się dzikie i nagie urwiska lub bielily się pola śniegowe, krajobraz coraz posępniejszą przybierał cechę.

— Włóż konserwy, bo możesz wzrok stracić — radził praktyczny doktor — widzę, że pani już zapuściła woal szafirowy. Te śniegi są istotnie oślepiające.

Usiedli wszyscy na kamieniu poniżej ściany śnieżnej, na czterdzieści stóp wysokości, i spoglądając na panoramę gór rozciągającą się przed nimi, z apetytem spożywali zapasy żywności zabrane z hotelu.

— Jakież to piękne! jakie wspaniałe! — mówiła zachwycona profesorowa — całe życie marzyłam o tém, żeby te cuda własnymi oglądać oczyma. Czy ten wał śnieżny nigdy nie topnieje?

— Prawie nigdy. Tu już zaczyna się linia śniegów. Możebyśmy poszli trochę wyżej? — zaproponował doktor.

— Dobrze, ale moja żona tu zostanie i odpocznie trochę. Ona nigdy się nie nudzi, choć jest sama — rzekł profesor z tkliwym uśmiechem.

Obaj mężczyźni odeszli i wkrótce stracili z oczu panią Trevena.

— Nie, nie mogę już dłużej wytrzymać, muszę raz zrzucić z serca ten ciężar! — gwałtownie zawołał doktor, uderzając laską w zasnął śniegu.

— Jaki ciężar? — zapytał zdumiony profesor.

— Myślałem, że pańska żona sama odkryje tajemnicę, a tak pragnąłem jej się poradzić! Ona ma tyle zdrowego rozsądku i prawdziwie niewieściej delikatności uczuć. Są kobiety, co wcale nie mają serca; próżność, chęć błyszczenia i życie światowe zabijają w nich wszelkie uczucie.

Pocziwy profesor z zafrasowaną miną słuchał tej gwałtownej przemowy, nic nie rozumiejąc.

— Jeżeli pan chcesz mi powierzyć jaką tajemnicę... — zaczął.

— Naturalnie, że chcę. Dłuższe milczenie byłoby zbrodnią; nie mogę maczać rąk w krwi niewinnej — powiedziałem to tej kobiecie.

— Jakię kobiecie? — zapytał przełknięty na dobre profesor, oglądając się mimowolnie za drobną, ciemną postacią, z którą od lat tyłu wszelkie dzielił troski.

— Opowiedz jej to pan później, skoro wrócimy; ona to lepiej zrozumie i lepszą na to znajdzie radę niż my mężczyźni — rzekł doktor, zgadując myśl towarzysza.

I opowiedział mu krótko o co chodziło i dlaczego od pięciu dni zamiast się puścić w dalszą drogę, musiał siedzieć w Andermatt. Młoda kobieta, która ze swoją służącą mulatką przebywała wraz z niemi górę Św. Gotarda, stanawszy w hotelu niebezpiecznie zachorowała. Tej samej nocy zakwiliło dzieciątko, dla którego nic nie było przygotowane; pocziwa gospodyni dostarczyła trochę niezbędnej bielizny i ulegając błaganiom nieznanym, przyrzekła zachować ścisłą tajemnicę.

— Wezwała jednak mojej pomocy i dobrze zrobiła, bo dziecko i matka były w wielkiem niebezpieczeństwie. Zdawało się nawet, że dziecko umarło, a kiedy powiedziałem, że żyje, pierwszym słowem matki było: „Szkoda!” — Czy słyszałeś pan kiedy o takim potworze?

— Może ona ma jaką ważną przyczynę... — rzekł zakłopotany profesor.

— Przypuszczasz pan tajemnicę — podchwycił doktor — otóż mylisz się. W czasie nadzwyczaj niespokojnego snu, kilka razy wspominała o mężu i nieznośnych bębnach. Jeżeli jednak ma dom, męża i dzieci, pocóż u licha włóczy się sama po świecie, narażając się na śmierć niechybną! Powiedziałem jej, że trzeba być waryatką, żeby puszczać się na podobną przeprawę.

— Ileż ma lat?

— Trzydzieści kilka, bardzo ładna kobieta, amerykanka rodem. Ma czworo dzieci i nienawidzi ich; tak mi przynajmniej powiedziała.

— Cóż ja panu mogę poradzić? — rzekł biedny profesor mocno zakłopotany — wątpię, czybym mógł ją przekonać...

— Ale co znowu! Nie mógłbyś się z nią widzieć nawet, a przytem to taka przewrotna kobieta, że wszelkie przełożenia na nicby się nie zdały. Nie chciała przecież karmić swego dziecka i byłoby pewno umarło z głodu, gdyby pocziwa gospodyni nie była dostarczyła mleka. A chłopak piękny, zdrów i silnie zbudowany; niejednym z waszych bezdziejnych lordów dałby połowę swego majątku, żeby mieć takiego dziedzica.

— To bardzo dziwne — rzekł pan Trevena — czy pan sobie życzy, żebym to wszystko opowiedział mojej żonie?

— Właśnie. Kobiety mają cudowny instynkt i nieraz na takie wpadają pomysły, że zawstydzą nas z całym naszym rozumem. Pańska żona może mi co poradzi. Wie pan, czego zażądała ta niegodziwa kobieta? Oto żebym oddał jej dziecko do domu podrzutków, albo położył je gdzie na drodze, to może jaka litościwa dusza je weźmie. Myślałem, że krew mnie załaje z oburzenia i zgrozy!

— Ależ to chyba waryatka! — szepnął przerażony profesor.

— Bynajmniej, tylko musiała urodzić się bez serca. Zresztą bystra i zręczna kobieta. Żelazne ma zdrowie, jeżeli mogła przeżyć to wszystko; za tydzień myśli już jechać.

— Dokąd?

— Nie wiem. Z tego co mówiła w gorączce domyślałem się, że siedm czy ośm miesięcy temu musiała opuścić męża. Nie chciała ani powiedzieć swego nazwiska, ani dać adresu. Sam nie wiem, co począć. Ciągłe nastaje na to, żebym oddał dziecko do domu podrzutków; nie mogę tego wziąć na swoje sumienie, a z drugiej strony boję się zostawić w jej rękach to maleństwo, bo gotowa je zagłodzić.

— A ta mulatka, czy także nie ma serca?

— Mój drogi panie, nie znasz naszych niewolników. Gdyby jej pani kazała zrzucić dziecko ze skały, uczyniłaby to bez wahania. Serce się kraje, kiedy się słyszy krzyk tego biedactwa.

— Mój panie! — zawołał pan Trevena, mimowolnie wzruszony losem niewinnej istoty — masz pan słusność, trzeba wszystko powiedzieć mojej żonie, ona znajdzie na to radę.

Tymczasem pani Trevena zapatrzona w wspaniałe krajobrazy alpejskie, tonęła w uczuciu zachwytu bez granic. Jakże nędznym i małym wydawał się jej ten świat tak ruchliwy, wiecznie w pogoni za nowością i wrażeniami, wobec tego majestatu natury, wobec tych olbrzymów granitowych, okrytych śniegiem, po którym nigdy nie deptała stopa ludzka, wobec tej wiecznej uroczystej ciszy, ziemskim niezmaconej gwarem.

W oczach miała łzy szczęścia, uśmiech niewymownej błogości u ustach, a na bladawej twarzy rumieńce wywołane wzruszeniem.

— Spojrz pan na nią! — rzekł amerykańnik półgłosem — wygląda jak gdyby była w niebie. W młodości musiała być bardzo ładną.

— Dla mnie jest zawsze ładną — odparł mąż z uwielbieniem — czyś odpoczęła już, moja droga? Możeby pomyśleć o powrocie?

Powstała w tej chwili, i raz jeszcze objąwszy okiem wiercholki góry Św. Gotarda, zaczęła zbierać w kosz resztki śniadania.

— To się przyda dla tych małych chłopiąt, co sprzedają szarotki i róże alpejskie w Hospenthal — rzekła z uśmiechem.

Obaj mężczyźni byli bardzo milczący przez całą drogę, zato pani Trevena rozmawiała z niezwykłym ożywieniem.

— Obiad będzie za pół godziny — rzekł doktor, kiedy stanęli na miejscu — jeszcze muszę być u mojej chorj... Jakież wspaniałe zachód słońca! Czemuż świat jest tak piękny, a ludzie tak źli!... Ale nie wszyscy, nie wszyscy — dodał, uchylając kapelusza przed panią Trevena.

— Nie zapomnij pan powiedzieć jej to, co wiesz — szepnął do profesora.

Skierował się do małego pawiloniku przy hotelu i ztamtąd mógł widzieć, jak małżeńska para, wzięwszy się pod rękę, przechadzała się i rozmawiała z sobą. Znikli na zakręcie drogi i ukazali się wtędy dopiero, kiedy dzwonił hotelowy wezwał wszystkich na obiad...

Jedno spojrzenie na panią Trevena przekonało doktora, że wie już o wszystkiem. Nic prawie nie jadła, siedziała milcząca i zadumana, ale taki wyraz szczęścia rozpromieniał łagodne jej oblicze, takim blaskiem jaśniały jej oczy, że wydawała się młodszą o lat dziesięć.

Zaraz po obiedzie wzięła na bok doktora.

— Mąż powiedział mi wszystko — rzekła, siląc się na spokój — sama nie wiem, co począć, ale chciałabym przedtem widzieć się z tą biedną kobietą.

— Pani jej żałujesz jeszcze, chcesz się z nią widzieć? Nie, ona tego nie warta. Byłem teraz u niej, plecie jak w gorączce i chce się pozbyć dziecka za jakąbądź cenę.

— Może istotnie choroba pomieszała jej zmysły? Spytaj się pan, czy zechce mię przyjąć. Jesteśmy obie kobietami i matkami... ja przynajmniej byłam matką — dodała drżącymi ustami — łatwiej więc się zrozumiemy.

— Pójdę i spytam się, choć ona niegodna pani dobroci. Powiedziałem jej dzisiaj, że kiedyś gorzko odpokutuje za niegodziwość, jaką chce popełnić.

Wyszedł i wrócił za chwilę.



Pracownia drezdeńska J. I. Kraszewskiego.

— Na nic się to nie przyda—rzekł, potrząsając głową— albo to jest waryatka, albo też zepsuta do szpiku kości kobieta. Nie chce pani przyjąć, nie chce widzieć nikogo obcego, przeklina swoje dziecko, a kiedy zwróciłem jęj uwagę, że Bóg może kiedyś zażądać od nięj rachunku za tę niewinną duszyczkę, którą pragnie zatracić, rozśmiała mi się w oczy. Ta kobieta nie wierzy ani w Boga, ani w dyabła!

— Nie wiesz pan, kto ona jest?

— Wiem tylko, że amerykanka. W gorączce mówiła o mężu, o domu, o dzieciach, nieznosnych malcach, i o teatrze.

— O teatrze? Kilka miesięcy temu słyszałam o jakiejś śpiewaczce, co uciekła z Medyolanu, może to ona?

— Trudno wiedzieć; swego nazwiska za nic w świecie nie chce wyjawiać.

— Żal mi jęj — rzekła ze współczuciem pani Trevena — ma dzieci, dom, męża i z własnej woli zrywa najświętsze związki?

— Pani litowałaś się nad samym nawet szatanem! — z gniewem zawołał doktor — ona niewarta niczyjego pożałowania. Ciekaw jestem, coby też na to powiedziała moja żona; kazałaby mi jeszcze adoptować malca — zamiast dziesięciorga miałbym jedenaście bębnow w domu!

— Czy nie mogłabym zobaczyć dziecka? — po chwili milczenia zapytała profesorowa.

Nie było to łatwem zadaniem. W nocy dopiero, kiedy wszyscy spać poszli, wpuszczono panią Trevena do pawilonu i sam doktor przyniósł jęj śpiące maleństwo w ciepły szal otulone. Odebrała mu je zaraz i tkliwie przycisnęła do serca.

— Ja także miałam syna — szepnęła jakby do siebie — żył tylko sześć godzin...

— Chłopiec jest piękny i silny, proszę pani — mówił doktor — matka dała mu coś na sen, choć ostrzegałem ją, że może go zabić; ale ona tyle dba o swoje dziecko, co o kocięta, które topią.

Pani Trevena z namiętną czułością ucałowała różowe liczko niemowlęcia.

— Ach! czemuż Bóg mi odebrał mego syna. Żył tylko sześć godzin, ale ja go nigdy zapomnieć nie mogę.

Łzy jęj padały na śpiące maleństwo i rozbudziły je; poruszyło się, kwiląc żałośnie.

— Muszę je odnieść — rzekł doktor.

— O! nie, pozwól mi zabrać je z sobą na noc — błagała osierocona matka — ja umiem się z dziećmi obchodzić.

— To niepodobna, pani wiesz o tém. Tajemnica zarazy się wydała.

Zabrał je i odniósł. Pani Trevena nie opierała się dłużej; nieobeschle łzy wilżyły jęj oblicze, ale w oczach nieznanie jaśniało szczęście. Poczciwy doktor odprowadził ją do hotelu i pożegnał serdecznem ściśnięciem ręki; spokojniejszy był teraz o los dziecka, bo nie wątpił, że zacna kobieta znajdzie sposób ocalenia tęg biednej istoty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

kiego Schwartzhoffa o manewrach floty francuzkiej pod Tulonem pokazuje się, iż sprawozdanie swoje oparł głównie na wiadomościach czerpanych z dzienników francuzkich." — Jakim sposobem — zapytuje prasa niemiecka — ten brulion mógł się dostać w ręce ministra?... i dalejże z tego tematu snuć najrozmaitsze podejrzenia i przyczepki.

Zdarzyło się znów, że niejaki Eyrolles, urzędnik w ministerjum wojny francuzkiem, posądzony o podejrzone stosunki z jednym z pełnomocników wojskowych przy ambasadzie niemieckiej w Paryżu, dostał dymisyą. Nie wytoczono mu procesu, jak utrzymują dzienniki francuzkie, jedynie z obawy wywołania trudności dyplomatycznych. Prasa francuzka nie może darować swemu rządowi tego tchórzostwa, tego serwilizmu wobec Niemców, i domaga się aby ów wojskowy pełnomocnik Paryż opuścił. Prasa pruska nie posiada się z gniewu i oburzenia o to wszystko; całą historię Eyrolles'a mieni być fałszem, żąda dowodów na to, że pełnomocnik niemiecki pozostawał z nim w stosunkach, a w końcu oświadcza, iż tenże powinien wyjechać z Paryża, ale razem z ambasadą niemiecką. Tym wyrazom oburzenia towarzyszą długie wywody o systemie szpiegostwa uorganizowanego przez francuzów, o sieci szpiegów i agentów prowokacyjnych francuzkich, która miała obmotać całe Niemcy.

Nie dziw, że taka nieustająca wojna podjazdowa drażni coraz silniej obie strony i wywołuje coraz większe naprężenie wzajemnego stosunku.

Do złagodzenia tych drażliwości nie przyczyniają się też rozpoczęte już prześladowania w Alzacyi i Lotaryngii za patryotyzm francuzki. Niemcy skazali na wygnanie kilkunastu najwybitniejszych swych notablów; wiele osób podejrzanych o sympatyje francuzkie aresztowano; młodzież wydającą podczas wyborów okrzyki: „Vive la France!” poskazywano na sześć miesięcy więzienia. Wszystko to irytuje naturalnie francuzów, a Niemcy zdają się czekać tylko na wybuch tego gniewu, aby krzyknąć, że Francya miesza się w ich sprawy wewnętrzne.

Najoptymistyczniej usposobione dzienniki niemieckie, jak np. „Gazeta szlązka”, która dotąd nie wierzyła w wojnę, poczynają już przypuszczać, że Niemcy mogą się znaleźć w konieczności stoczenia jednocześnie walki na dwóch frontach, zachodnim i wschodnim.

Obliczając widoki tęg walki, publicyści pruscy nie wątpią o tryumfie niemieckim — przy pomocy Austrii, Włoch, Anglii, państw bałkańskich i Turcyi. Jednak nadzieje pokładane na Włochach mogą się okazać zawodnemi; jeśli u steru rządu włoskiego staną, jak się na to zanosi, Crispi, Zanardelli i Cairoli, traktat niemiecko-austryacko-włoski, choćby był rzeczywście zawarty, można uważać za niebyły, a niechybne w takim razie zbliżenie się Włoch do Francyi zmieniłoby z gruntu stosunek sił obustronnych.

Naprężenie stosunków na Zachodzie odwróciło w znacznej części uwagę świata politycznego od stosunków na Wschodzie, mianowicie od czasu stłumienia w Bułgaryi spisku przez rząd regencyjny. Przypomniał je przyjazd Stoilowa do Wiednia, który dał powód do najrozmaitszych domysłów i przypuszczeń. Jedni utrzymują, że minister bułgarski przyjechał w interesie konfederacyi państw Bałkańskich; drudzy, że pragnie się dowiedzieć, kogo ostatecznie mocarstwa na tron bułgarski przeznaczają; inni wreszcie, że celem jego podróży było jedynie przedstawienie rzeczywistego położenia Bułgaryi, wykazanie, iż taki stan rzeczy jak dziś dłużej trwać nie może, i zapytanie czy i co zamysłają mocarstwa uczynić dla Bułgaryi. Ten ostatni domysł zdaje się być najprawdopodobniejszym, gdyż pomimo stłumienia rokoszu, mimo, że doniesienia o nowym wybuchu spisku w Łom-Palance okazały się mylnemi, mimo, że w kraju panuje napozór spokój zupełny, stosunki wewnętrzne mają być mocno naprężone.

Gabinet angielski Salisburego utwierdził się silnie na swoim stanowisku; izba gmin uchwaliła w pierwszym czytaniu jego bil irlandzki. Na zebraniu unionistów lord Hartington w długiej mowie dowodził, że Gladstone swoim zachowaniem się w sprawie irlandzkiej wywołuje coraz głębsze rozdwojenie w obozie liberalnym, a unioniści nie uczynią nic takiego, coby obecny gabinet osłabić mogło.

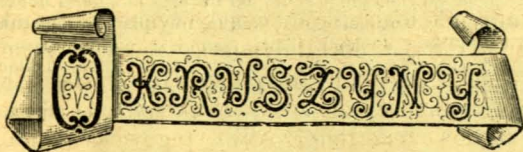
W nieszczęśliwej Hiszpanii odkryto znów spisek; liczne aresztowania nastąpiły jednocześnie w stolicy i we wszystkich



Hęjże! na Boulangera. — Brulion raportu kapitana niemieckiego. — Sprawa Eyrolles'a. — Prasa pruska i prasa francuzka. — Prześladowania w Alzacyi i Lotaryngii. — Niemcy przypuszczają konieczność walki na dwóch frontach. — Ich pewność tryumfu i zawodność obliczeń. — Stoilow w Wiedniu. — Wzmocnienie stanowiska gabinetu Salisburego. — Odkrycie nowego spisku w Hiszpanii.

Rozjaśniony chwilowo ponad uroczystościami berlińskimi widnokrąg polityczny chmurzyć się coraz bardziej zaczyna. Półurzędowa prasa berlińska, za przewodem „Norddeutsche allgemeine Zeitung”, urządziła formalną obławę przeciw generałowi Boulangerowi. Ostatni powód do tych ataków dało jęj wyrażenie się ministra wojny francuzkiego, że „z brulionu raportu kapitana niemieckiego

niemal znaczniejszych miastach na prowincyi. Charakterystyczną i pocieszającą poniekąd rzeczą jest, że wśród aresztowanych niema ani jednego wojskowego. Byłoby to znakiem, że przynajmniej epoka pronuncyamentów wojskowych, najczęstszych dotąd i najgroźniejszych dla porządku publicznego, już wreszcie minęła. Szczegóły spisku rząd trzyma w ścisłej tajemnicy.



611) ODPOWIEDŹ na pytanie: Czy używanie alkoholu jest bezwarunkowo szkodliwe?

Wówczas gdy większość fizjologów, higienistów i moralistów piorunuje przeciwko alkoholowi, niektórzy uczeni usiłują zmniejszyć przypisywane mu winy.

Dla pana Fournier de Flaix alkohol nie jest wcale tak zatwardziałym winowajcą, przypisywane mu zbrodnie nie leżą w nim lecz w nadużyciu i w fałszerstwie. Pijąc umiarkowanie, nie mówimy alkohol, lecz wódkę winną, z owoców, ze zboża, nawet z buraków, jeżeli nie pomożemy zdrowiu, bynajmniej mu nie zaszkodzimy. Powtarzamy jednak—wódkę zdrową, dobrze dystylowaną, nie zaś owe trucizny zabójcze, fabrykowane w Niemczech i przemycane do Francyi zapomocą podejść tysięcy.

„Anglia, mówi Fournier de Flaix, zużywa więcej alkoholu od Francyi, pomimo to stoi wyżej od niej pod względem przyrostu ludności, a niżej pod względem śmiertelności, ilości zbrodni i samobójstw. Włochy konsumują mało alkoholu i mają bardzo pocaźną kryminalistykę. Hiszpania pije trzy razy mniej od Włoch i przewyższa je dwakroć ilością zbrodni. W Szwecyi, w Norwegii, w Danii konsumcyja alkoholu jest trzy razy większa niż we Włoszech, a zbrodniczość mimo to dziesięćkroć mniejsza. Niemcy, gdzie konsumcyja alkoholu jest znacznie większa niż we Francyi, wykazują jedną trzecią mniej samobójstw i pięćkroć większą przewyżkę urodzeń nad śmiertelnością.”

Zdaniem uczonego francuzkiego alkohol nie jest bynajmniej plagą, zagrażającą rasie europejskiej losem ras australskich, a najwymowniejszym dowodem tego jest potęga emigracyjna narodów używających najwięcej alkoholu. Alkohol jest pierwiastkiem nowym odżywiania; użycie jego zależnym jest wprost od potrzeb klimatu; klimat jest prawem alkoholu, alkoholizm zaś to nadużycie, nieumiejętne użycie pokarmu potrzebnego lecz trudnego do uregulowania.

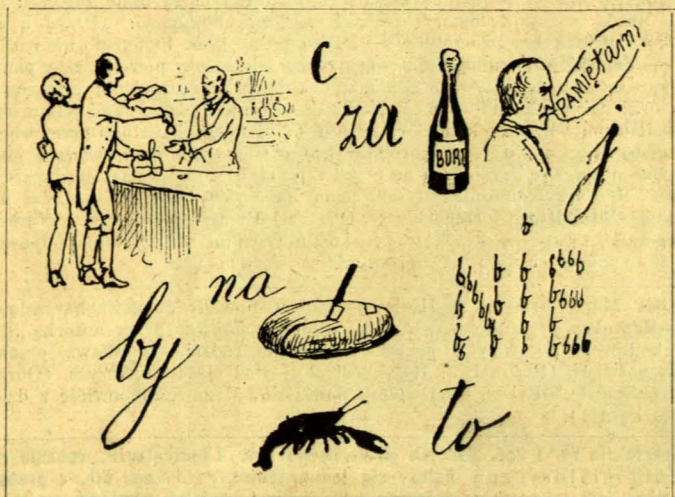
Alkohol w higienie i terapeutyce oddaje częstokroć rzeczywiste usługi; on to w dniach zimnych i dżdżystych rozbudza odwagę górników, odnawia siłę muskularną w ramionach kopaczy, podnosi energią marynarza, podtrzymuje w pochodzie upadającego od znudzenia żołnierza. W wielu chorobach działa tak zbawiennie jak china i opium. Zarówno uczony jak robotnik, czerpie w nim nową siłę do pracy. Jedni przekładają kawę, inni alkohol, lecz każdy potrzebuje bodźca.

Pitt i Fox przed każdą mową publiczną wypijali kieliszek portu; Thiers codziennie wypijał dwa kieliszeczki malagi; Gladstone pije codziennie dwa kieliszeczki klaretu przy śniadaniu, dwa przy obiedzie i kieliszek portu. Czyny to przeszło trzydzieści litrów rocznie, t. j. trzy razy więcej niż średnia konsumcyja roczna każdego anglika.

612) PYTANIE: Jakie są skutki środków leczniczych zwanych „śmierzającymi”?

**Ze skarbca prawd.** Jeżeliby każdy z nas doświadczał tylko tyle szczęścia na ile rzeczywiście zasługuje, wówczas byłoby jeszcze więcej nieszczęśliwych niż jest ich dzisiaj.

R E B U S.



Rebus z N-ru 12. Nie sądź zbyt pospiesznie.

Amatorka literatury naukowej do uczonego, który właśnie przeglądał książki na jej biurku rozłożone:

- Poczem poznajesz pan kobietę, która lubi czytać książki naukowe?
- Po kartkach nierozciątych.

Miłość na giełdzie.  
— Pani, rodzice nasi już się porozumieli w kwestyi posagu, teraz więc nie mnie nie kępuje wyznać pani moją gorącą miłość!

Mały pozytywista.  
— Cobys ty wolał: czy żebym ja była kwiatkiem, czy ptaszkiem?—zapytała siostra braciszka. Na to braciszek po namyśle odpowiedział:  
— Wolałbym, żebys była ptaszkiem... bo ptaszka można zjeść.

Po prośbie.  
— Upraszam o łaskawą jałmużnę, jestem robotnikiem z kopalni bez zajęcia i nie mam nic w kieszeni, prócz kilku patronów z dynamitem.

JAK SOBIE RADZIĆ.

**Zapobiedz aby oliwa lub inne płyny tłuszczowe nie pleśniały.** Do naczynia lub butelki zawierającej płyn tłusty trzeba nalać spirytusu, a by pokrył płyn warstwą grubą na palec. Następnie naczynie zakryć a butelkę zakorkować szczelnie. Tak przechowane tłuszcze mogą pozostawać przez kilka lat bez śladu pleśni.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Położenie polityczne lubo niepewne ale też i nieupoważniające do rokowania rychłych awantur wojennych, nie mogło być bodźcem dla spekulacyi i wpływało na apatyczną postawę rynków zbożowych w ogólności. Jedne rynki francuzkie zdradzały nieco mocniejsze usposobienie, przy małym jednak ożywieniu. Ceny mniej więcej trzymały się na poziomie zeszlotygodniowym.

Widoki na razie bardziej pokojowe, polepszenie się zdrowia cesarza niemieckiego, oraz parę wielkich operacyj finansowych dokonanych przez rządy, wreszcie regulacyja końcomiesięczna, wpłynęły chwilowo na wzrost obrotów. Pomyślny ten zwrot trwał jednak krótko i dążność zwyżkowa minęła niebawem. Ruble na giełdzie berlińskiej z poniedziałkowego (28 marca) kursu 178.85, we wtorek poskoczyły nagle na 180.25, atoli już nazajutrz spadły znów na 179.90 a we czwartek na 179.20 i już na tym mniej więcej poziomie trzymały się do końca tygodnia.

Warszawa, d. 5 kwietnia 1887 r. 5/10 Listy Zast. (za rs. 100) 101 95.—Listy Zast. ser. II lit. A. 101.70.—Listy Zast. ser. III lit. A. 100.90.—Listy Zast. M. W. I ser. 100.—Listy Zast. M. W. II ser. 99.75.—Listy Zast. M. W. III ser. 99.25.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 94.60.—Marka niem. kop. 55 1/2 zł. reński k. 88 1/2; frank k. 45; półimperyal rs. 9 k. 21; wartość rubla w zlocie k. 56.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 8 k. —.—Żyto rs. 5 k. —.—Jęczmień rs. 4 k. 40.—Owies rs. 2 k. 95.—Groch rs. 6.  
— na stacyi Praga. Za pud. Pszenica rs. 1 k 30.—Żyto k. 85.—Jęczmień k. 86.—Owies k. 86.—Groch k. 90.—Gryka k. 85.



**Misyonarze.** (P. U. Nal... st. Kamieniec Podolski.) Oburzenie sz. pani pochodzi z pobudek szlachetnych ale nie jest sprawiedliwem: i w dzisiejszej Francyi znajdują się charaktery prawe, bohaterkie, serca przejęte miłością bliźniego. Na tle cynizmu spotykają się czyny piękne, obok ateuszów postępują ludzie poświęceni służbie Bożej. Niedawno Paryż żegnał kilkunastu młodzieńców należących do Misyj zagranicznych, którzy udając się do ludów dzikich, przyjmowali w kaplicy Misyi błogosławieństwo z rąk biskupa mgr. Belouine. Ci młodzi apostołowie poszli szerzyć światło wśród indusów, birmanów i t. p. plemion, poszli aby nie wrócić; pamiętką po nich będzie tylko nazwisko włączone do listy dobrowolnych męczenników, wypisanej na ścianie kaplicy. Lista to bardzo długa; setki misyonarzy padło ofiarą różnych chorób i dzikości mieszkańców ale na ich miejsce zawsze znajdują się nowi, których nie odstrasza krwawe wspomnienie. Idą oni jak żołnierze i giną jak żołnierze, a Francya nie ponosi ani kosztów na ich pogrzeb, ani nie rozciąga opieki nad ich rodziną — oni byli sami.

**Drzewo atramentowe.** (P. J. B. uczniowi aptekarskiemu w Lublinie.) To niegrzecznie, a w tym razie i niesłusznie nazywać swego przełożonego—błagierem. Miał on racya skarcić pańską słabość do robienia różnych atramentów, dla której zapewne zaniedbywał inną pracę w laboratorium; miał racya ostrzedz pana, że może wkrótce atrament sztuczny spotka konkurenta w atramencie naturalnym, płynącym jak żywica, z rośliny rosnącej na Nowej Grenadzie, zwaną *coriaria thymifolia*. Sok płynący ma kolor różowy, który przy zetknięciu z powietrzem zmienia się na czarny; atrament ten doskonale nadaje się do pisania, nie wymaga żadnych w tym celu przygotowań a piórom stalowym mniej szkodzi niż atramenty fabryczne. W Europie starają się to drzewo zaaklimatyzować.

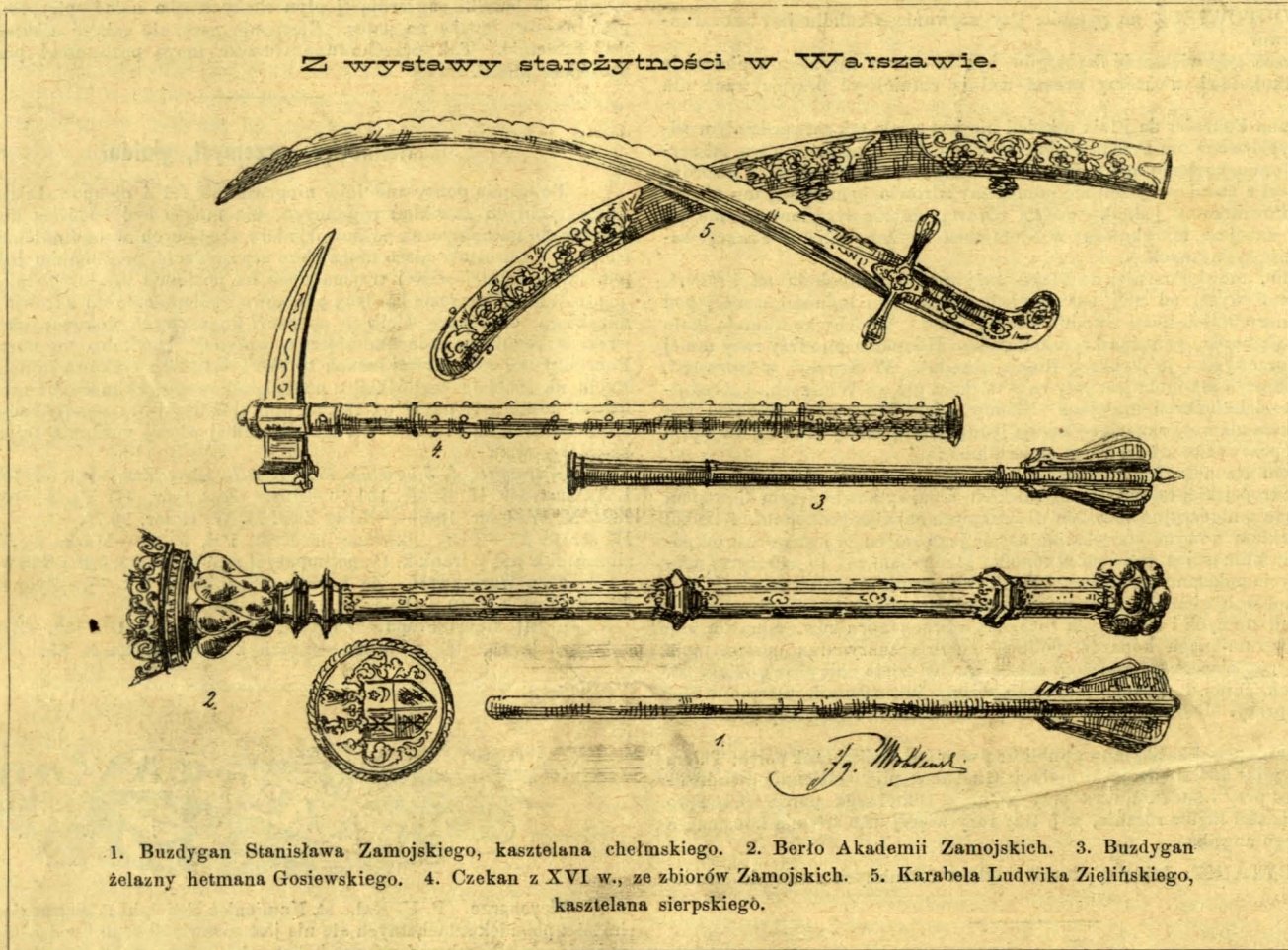
Post-scriptum.

**Cieszyniakowi w Gdańsku.** Uroczystość jubileuszowa Czytelnicy ludowej w Cieszynie, która w r. z. skończyła 25-letni okres swego istnienia, odbyła się d. 6 lutego r. b., równocześnie z rocznym walnym zebraniem. Uroczystość składała się z przywitania gości, sprawozdania z 25-lecia, przemówień najstarszych członków Czytelnicy i korporacyi, wiersza okolicznościowego i pożegnania. Zakończyła ochocza zabawa towarzyska tańcami. Przygrywała muzyka cieszyńska, złożona z samych polaków. — **P. Z. Salomea D.** Szemat ze sprostaczeniami nad roślinnością oddaliśmy red. „Wszehświata”, zadowolonej z życzliwej pomocy. — **P. Rogoziński** znowu wybrał się do Afryki, na jak długo nie wiemy; ma na celu poszukiwania naukowe a politykę uprawiać będzie o tyle tylko o ile mu ona drogę zastąpi. Z podróży pierwszej p. R. najwięcej skorzystało Muzeum przemysłowo-techniczne d-ra Baranieckiego w Krakowie; otrzymało ono od podróżnika na-

szego dużo przedmiotów używanych przez plemiona afrykańskie.—P. Janikowski, towarzysz p. R., bawi w Królestwie i zajmuje się odczytami po większych miastach prowincjonalnych.—O „Potopie” było kilka recenzji w pismach warszawskich, lecz nie w codziennych; wszystkie przyznają tej powieści wielkie zalety, jednak pod względem artystycznym niżej ją stawiają od powieści „Ogniem i mieczem”.—Najobszerniej o „Potopie” mówił hr. W. Dzieduszycki, na katedrze prelekcijnej we Lwowie; głęboko wniknął w wartość tego utworu, zbadał go w szczegółach i zakończył hołdem dla wielkiego talentu, od którego mamy prawo oczekiwać dzieł pomnikowych.—Najchętniej na każde pytanie odpowiemy, z góry tylko prosimy o cierpliwość... nieraz nawet święta.—P. A. Pławiński w Ł. I mybyśmy to samo zrobili; o tém dobrze pamiętamy, ale muru głową nikt nie przebiję. Od żadnego pisma czegoś podobnego nie można się spodziewać.—**Narzeczonej w Kołomyi.** Kto może, ten do ślubu jedzie karetą, ale kogo nie stać na to, ten idzie pieszo; modę tu stanowi zamożność narzeczonych. Idąc pieszo, nie koniecznie trzeba brnąć po błocie; dom młodej pary, która nie umie wyminąć kałuży, będzie wzorem nieporządku.

Uprzejmie dziękując za zaufanie i życzliwe słowa, ośmielamy się zapytać, jakie to okoliczności wpłynęły na zaniedbanie dzieciny, o którą sz. pani tak jest troskliwą. Dziecina z odciskami wymagającymi operacji, z paluszkami odmrzniętymi, z przyszciami na buzi i t. p., musi być albo chorą od urodzenia, albo o zaniechaną jak sierota. Czyż troskliwe wychowanie nie mogło ustrzedz maleństwa od tych dolegliwości? —P. Z. Sob. w Dreźnie. Możemy sz. panu służyć tylko objaśnieniami, które znaleźliśmy w nadesłanej nam ustawie ekonomicznego Towarzystwa polskiego w Londynie, założonego w 1886 r. Celem Towarzystwa jest: wzajemna pomoc materyalna; założenie przytuliska dla przyjeżdżających Polaków; zabawy towarzyskie; odczyty i wykłady treści naukowej; wynalezienie pracy w czasie bezrobocia, powiększanie biblioteki i t. p. Członkiem honorowym może być każdy Polak lub cudzoziemiec. Członek czynny płaci miesięcznie conajmniej 1 szyling do kasy Tow.; dochody Tow. stanowią: opłata wpisowego, składki miesięczne, datki nadzwyczajne. Przystępujący do kasy chorych, płaci wpisowego 1 s. 6 d. i miesięczną składkę 1 s.—P. Adamowój z R. B. (w Koronie). Żadnych dzieci ani „krajowych” ani „zagranicznych” nie mamy do zbicia. Na miłość

### Z wystawy starożytności w Warszawie.



1. Buzdygan Stanisława Zamojskiego, kasztelana chełmskiego. 2. Berło Akademii Zamojskich. 3. Buzdygan żelazny hetmana Gosiewskiego. 4. Czekan z XVI w., ze zbiorów Zamojskich. 5. Karabela Ludwika Zielińskiego, kasztelana sierpskiego.

### Przewodnik.

P. T. Krukowski w S. Portret olejny J. I. Kraszewskiego będzie wykończony z możliwą starannością.—Szkic rysunkowy wcale niezły ale temat „napad wilków” już był tyle razy użyty przez malarzy. W Biesiadzie znajdziesz pan kilka podobnych kompozycji Kowalskiego i innych artystów. Za słowa życzliwe uprzejma podzięka.—P. J. K. w W. Premium nasze otrzymują także prenumeratorowie, którzy opłatę za B. L. wnoszą przez rok cały kwartalnie. O podręcznik zapytać wprost redakcyi „Muzeum pedagogicznego” we Lwowie.—P. A. Olsz. w M. Jakże to mają być dzieła specjalne lekarskie? czy traktujące o jednej jakiej chorobie, czy też o wszystkich. W drugim razie zalecamy „Kronikę lekarską” lub „Medycynę”, pisma peryodyczne wychodzące w Warszawie.—Matte A. Z. Niech dziecko chodzi bosą lub w miękkich pantofelkach a odciski zgina; nóżki smarować gliceryną lub naftą (nb. nie przy ogniu, ani świecy); na czarne plamki i przyszcze każda apteka posiada pomadę.—„Schronienie nauczycielek” ma na celu nie zarobek lecz przedewszystkiem dobro społeczeństwa; o handel nauczycielstwem posądzać nie należy instytucyji otoczonej ogólną sympatją.—

Boga, przecież sierota to nie psiak, żeby jej żądać natychmiast dlatego, że „Oleci samej bardzo się nudzi”; tak samo od małpki żądamy figlów i obracania różną. Oj pan! pani Adamowo z R. B. w Koronie.—P. p. Maurycy, Tadeusz. I logogryfy trzeba umieć układać, a w nadesłanym są takie zagadki: *starożytny naród znany z historii średnich wieków?* Sentencyi: „Praca z cnotą i pokora, ucieka bez promotora”—i z logogryfem i bez logogryfu nie rozumiemy.—*Subiektowi handlującemu węgierzami.* Nie byłoby powodu, żeby pana nie przyjęto na członka „Stowarzyszenia subiektów” i nie pozwolono uczyć się na wieczorki deklamacyjno-muzykalne. Przecież handel węgierzami tyle wart pod względem moralnym co handel cytrynami lub fanelą; chyba pan przez węgierza rozumiesz interes ślizgi, z którego wykręcać się można bankrutem, jak np. sprzedając pożyczek premiiowych na raty i t. p. Jeśli domysł nasz jest trafny, to słusznie Stowarzyszenie nie przyjmie pana, choćby do węgierzów dodał nawet minogi.—*Stroicielowi fortepianów* (w Odessie.) Pytasz się pan, czy w Warszawie fortepianisci są „pisani wysoko czy nisko”; nie rozumiejąc zapytania, odpowiadamy, że to zależy od piętra na którym mieszka fortepianista.

Treść numeru 588 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy.—Stabat Mater (wiersz).—Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.).—Praca olbrzyma.—We dworze ksiądz pleban poświęci.—Z książki i z życia.—Raptularz tygodniowy.—Dziecko kupione, powieść przez autorkę „Lorda Erlistoun” (d. c.).—Listy polityczne.—Czy używanie alkoholu jest bezwarunkowo szkodliwe?—Ze skarbeca prawd.—Jak sobie radzić.—Rolnictwo, przemysł, giełda.—Gazetka.—Post-scriptum.—Przewodnik.—Rysunki: We dworze ksiądz pleban poświęci. (Rysunek J. Ryszkiewicza).—Pod ciężarem krzyża. (Obraz J. Papperit).—Pracownia dreźnieńska J. I. Kraszewskiego.—Z wystawy starożytności w Warszawie.—Rebus.—„Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkusz 14.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monetę obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Марта 1887.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek.—Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego**: Chmielna Nr 26.



## Z WARSZAWY.

Wielkanoc.—Nowy beniaminek warszawski.—Dyrektor i ojciec „Lutni”.—Kto do chórzystów należy.—Opinia mamy.—Obraz „Wojna chłopska”.—Wystawa planów konkursowych na kościół pragski.—Chwalebna gorliwość.—Rysunki i rzeczywistość.—Projekt z nad Wilii.—Jakim językiem przemawiał Kraszewski.— Czy oczyszczą usta swoje ci, co się na uczciwy nekrolog zdobyli.

I znowu mamy wiosnę... znowu rozkwitły palmy... znowu Wielkanoc... i dzwony świątyni po żalach wielkotygodniowych, rozlegających się jak echo gwoździ w krzyż wbijanych — odezwą się radosnym Alleluja. Po pamiętce Męczeństwa i Grobu, świat chrześcijański znowu ujrzy Zmartwychwstanie Chrystusa — podniesionego z prochu ziemskiego na wysokości niebieskie.

W tej chwili do grobów w kościołach cisną się tłumy — na tace kwestarek sypią się ofiary... grosze... dukaty... ile kto dać może; ale każdy daje, bo niema tak biednego człowieka, któryby nie mógł o sobie powiedzieć — jestem bogatszy od innych.

Po wielkim Piątku, dniu Męki, nastąpi wielka Sobota, dzień spokoju grobowego — a w noc wielką aniołowie dźwigną kamień i Zbawiciel odkupiwszy ziemię wstąpi do nieba... i znowu światło ogrzeje świat cały i znowu wszyscy cieszyć się będą, zamieniając z sobą Alleluja! Alleluja!

W kółkach rodzinnych będzie w tym roku mniej wystawy, mniej dogadzań ciała ale za to więcej szczerzej a przystojnej wesołości; czasy bardzo ciężkie podcięły polę tradycji, przygasiły ognisko na kuchni, uszczupliły zapasy w piwnicy i spiżarni ale nie powinny zamknąć serca, nie powinny na czoła nasze sprowadzić chmury, kiedy niebo wróży pogodę.

W tych dniach uroczystych zapomnijmy o tém, czém nas karmią dzienniki codzienne, o dyplomacji, o mieczu, o giełdzie, o machiawelstwie... otoczmy się idyllą świętą, a chociaż kwiatów nie dała jeszcze ziemia, znajdziemy je w modlitwie, w uścisku braterskim, w życzeniach przy skromnie zastawionym stole, w rozmowie duchowej z nieobecnyimi.

Taki wypoczynek hartuje ducha;—bez podobnych leków najsilniejszy olbrzym prędzej czy później ręce opuści, da za wygraną i wszystkie cele ludzkie, najpiękniejsze, najszlachetniejsze nazwie mrzonką, zabawką lub waryactwem. Jeżeli chcemy aby usta nasze nie wykrzywiały się szyderstwem ani bolesnym odczarowaniem—niech je namaści Hosanna! Alleluja!

\* \* \*

Warszawie przybył nowy beniaminek artystyczny; zaledwie się narodził, zaledwie zakwilił a już wszyscy chwalą jego buzię i talent: na imię mu „Lutnia.”

Beniaminek przedstawił się na koncercie inauguracyjnym, na który i ja zostałem zaproszony, nb. do słuchania a nie do śpiewania. Wielka sala Resursy Obywatelskiej była zatłoczona a oklaski, wywoływania, bisowania skończyły się dopiero, kiedy ostatnie echo chóralnego śpiewu przebrzmiało i gazowe świeczniki gasnąć zaczęły. Bohaterem wieczoru był oczywiście dyrektor i prawowity ojciec „Lutni” p. P. Maszyński, który gdyby nie był dyrektorem i profesorem — mógłby być pułkownikiem wojennym, tak dzielnie dowodzić potrafi.

Wielkie bitwy widziałem tylko na obrazach a przed mami kryłem się w sitowiu, więc nie miałem sposobności poznać dowódcy w ogniu — dyrektor „Lutni” dał mi sposobność porównać rzeczywistość z tém, co malarze na płótnach pokomponowali. Wiotka, łagodna postać i fizyonomia młodego artysty nabierała spiżowej dzielności i szlachetnej furji ile razy pochwycił batutę i zaczął nią, niby buławą, wyrzucać na prawo, lewo i przed siebie;—wszystkie kierunki nią atakował, tylko nie rzucał jęj poza siebie... bo go obchodziło jedynie to, co miał przed sobą: legion śpiewaków. I batutą i wzrokiem przeszywającym dyrektor elektryzował swych szeregowców, a całe szczęście, że był odwrócony od publiczności, bo ta pod wpływem magnetycznym zaczęłaby śpiewać razem z jego elewami...

Serdeczne przyjęcie, jakie spotkało „Lutnią”, to droga usłana różami bez kolców;—kolce schował do kieszeni dyrektor

i lutniści, którzy zanim odśpiewali zgodnym chórem kilka pieśni, napracowali się dni sześćdziesiąt a może i więcej. W tych owacyjnych oklaskach było także nieco hołdu i dla „Lutni” lwowskiej, która zawitawszy do nas w r. z., nauczyła i skłoniła do naśladownictwa;—pokusie dał się opanować p. Maszyński i „Lutnią” warszawską z amatorów wystrugał.

O doskonałości naszego instrumentu mówić nie będziemy, ani porównywać go z instrumentem z nad Pełtwi; — tamten jest już dojrzałym owocem, nasz to dopiero pierwszy plon z drzewa tylko co zasadzonego a jednakże smaczny, soczysty, szlachetny — będzie więc przednim, doskonałym.

Słyszymy i czytamy, że chóry „Lutni” szybko wzrastają, że członkowie z pysznemi głosami zapisują się do szeregów, a jest już obawa, czy nie trzeba będzie listy zamknąć, chóry ograniczyć aby się zmieściły w sali koncertowej. Po tak pięknym początku każdy chce należeć do towarzystwa śpiewackiego, ale prawdziwa zasługa pozostanie na zawsze przy tych, którzy pierwsi wystąpili na estradzie.

Niejedna a szczególnie niejedna spieszyła na pierwszy koncert, aby się przekonać kto też do chórów należy... przypuszczano, że bezimiennie pracować potrafią tylko dependenci, reporterzy i pocztylioni ale każdy kto swoją godność ceni, musi być solistą w salonie, na estradzie a nawet w omnibusie kąpielowym. Tymczasem z zadziwieniem ujrano w chórze bezimiennych artystów, profesorów, przyrodników, prawników a nawet dwóch naczelników towarzystw kredytowych... nie dopatrzyliśmy tylko żadnego buchaltera ani kasyera. Wszyscy ubrani elegancko, w szatach balowych a przystojni, pięknie ułożeni, dystyngowani — skromni jednak jak pensyonarki wywołane przed katedrę na egzamin. Po takiej lustracyi, przez lornetę, niejedna ostrożna mama szepnęła do synka z obiecującym tenorkiem: „Teraz pozwalam ci zapisać się do nich;—myślałam, że w chórach pracują sami aplikanci, a widzę i panów i uczonych i takich nawet, za których bym wydała ciebie... moja Guciu...” — dokończyła mama pocichutku, a Gucia uśmiechem odpowiedziała — „I owszem.”

Różne wiodą drogi do małżeńskiego hymenu, dlaczegóżby i „Lutnia” nie miała być jednym z tych weselnych traktów. — Warto będzie wziąć za męża lutnistę, bo wspaniałe Veni-creator zaśpiewają koledzy; — to powinno być przywilejem młodzieży orderowanej tatrzańską szarotką.

Kto pragnie kontrastów, ten niech z koncertu lutnistów pójdzie na wystawę obrazów w Hotelu Europejskim i zobaczy „Wojnę chłopską”, obraz Rochegrosse’a. Wielkie to płótno otwarza jedną z najkrwawszych orgij ludzkich: do kastelu bogatego, jak wszystkie kastele francuzkie w XIV w., wdziera się tłuszcza rozbestwionego chłopstwa... pokrwawiona, w łachmanach, z twarzami których pozazdrościłaby zgłodniała hyena, delektująca się tylko co wygrzebanym łupem. Potłuczone okna, powyrywane oddrzwia, ogień podłożony pod dach i ściany... kosy... palki nabijane gwoździami... sztandary z odrąbanych głów ludzkich... wymownie tłumaczą czego ta tłuszcza chce, czego łaknie, w jakim zamiarze wdarła się do tego gniazda rodziny szlacheckiej, bezbronnej wobec napadu i mordu.

Jedyną zaporą przeciw tej nawale, co w krwi utopiła tyśiące rodzin, wsi, kościołów i domów — jest sędziwa matrona; wystąpiła ona przeciw zbójom i postacią swoją wyprężoną zasłania kobiety i dzieci ukryte za nią, zemdlone i skamieniałe.

Ideę artysta miał wielką — przeciwstawił on odwagę zbrodni, poświęcenie rozpasaniu, bezbronną istotę tłuszczy rozjuszonej; — chciał pokazać, że przed odwagą szlachetnych ustępuje odwaga zwierzęca... i kazał swoim okrwawionym bohaterom czaić się, podkładać, pelzać, ryczeć na widok sędziwej niewiasty, której siła ramienia nawet dziecku straszna być nie mogła.

Zamiar artysty był szeroko obmyślany; wykończenie jego, o ile to zależało od pędzla, jest doskonałe ale obraz nie robi tego wrażenia, jakie wieje z kart historii opowiadającej owe krwawe dni francuzkiej Jacquerie, jakie wywierają kompozycje innych artystów czerpiących temata z terroryzmu chłopstwa doprowadzonego do rozpaczki niewolą feudalną lub z wielkiej rewolucji francuzkiej. Artysta przedstawił fizyognomie rozbestwione ale nie ducha rozkielznanego; dobrał sobie potworów

opitych krwią ale na każdej wykrzywionej twarzy leży już od urodzenia piętno zbrodni—każda z nich taka szkaradna, taka wstrętna w swjej budowie. Niema ani jednej twarzy pięknej a przynajmniej kształtnej, którąby dopiero namiętność zeszkaradziła, a właśnie demon dramatyczny takie wynaturzone ciała zamieszkuje. Aniołowie strąceni, nim zostali szatanami, byli także pięknymi.

Są i inne jeszcze wady w tej kompozycji—jak nadto ściśnięte ugrupowanie, próżnie zaobszerne i t. p.; nie idzie nam jednak o krytykę, tylko o pochwałę dla właściciela wystawy, który dobrze robi, że wstąpił w ślady Towarzystwa zachęty sztuk pięknych i zaczyna sprawdzać z zagranicy dzieła znakomitsze. W ten sposób nie wyjeżdżając do obcych, czyli nie niszcząc się na kupno franków i marek, będziemy mogli wiedzieć, co się dzieje w sferze wszechświatowej sztuki, jak wiemy co się dzieje w sferze polityki i ekonomii.

Właściciela wystawy chwalimy a więc robimy mu reklamę, bez względu na korzyść, jaką ciągnie ze swego interesu. Nie możemy żądać od wszystkich filantropii—i handel wart uznania, jeżeli zaspakaja jak należy duchowe potrzeby społeczeństwa. Tembardziej możemy do handlu zachęcać, mając przed oczyma świetne dowody, że ofiarność u nas nie wygasa, lecz przeciwnie potęguje się w miarę rosnących potrzeb i przeszkód; dość pójść do sztandarowej sali w warszawskim ratuszu, aby ze zdziwieniem zawołać: aż tyłu!

Doprawdy zdziwić się trzeba, widząc ten długi szereg planów konkursowych na kościół pragski; planów jest dwadzieścia pięć a niektóre z nich wymagały kilku miesięcy usilnej pracy, oprócz talentu i nauki. Nasi budowniczowie nie dali się wyprzedzić nikomu w sprawie służenia dobru publicznemu—nie żalowali pracy bezinteresownej, bo nagrody konkursowe nie mogą zadowolnić najskromniejszych nawet wymagań. Niektóre plany wykonane są z nadzwyczajną starannością i artyzmem, są też i kreślone od ręki, amatorskie a podatne na świątynię Buddy lub meczet—widocznie zostały nadesłane z krańców wschodu ale i te witamy życzliwie, jako echo dobrej woli i pamięci o swoich. W ogóle w projektach panuje ostrołuk wiślano-baltycki, z różnemi modyfikacyami mniej więcej oryginalnemi; widoki kościołów przedstawiają się poważnie i pięknie, rysunek jednak nie zrobił na nas takiego wrażenia jak wspaniałe, potężne tury gdańskie, toruńskie i krakowskie, których cień zasłania całą długość rynku i przenosi się ponad dachy sąsiednich domów, na drugą lub trzecią ulicę.

Kto ma przed oczyma takie świątynie niebotyczne jak kościół Panuy Maryi, Św. Mikołaja, Św. Piotra, Św. Jakóba... z całym ogromem wież, okien, ciężkich a jednak pięknych sklepień, filarów, fryzów i łuków rzeźbionych z cegły a wyglądających jak marmurowa koronka—temu najpiękniejszy rysunek nie imponuje. Wspomnienia o marmurowych arcydziełach dopiero wtenczas się poskromią, kiedy zauważymy, że owe wiekopomne świątynie kosztowały miliony i budowały je pokolenia całe a kościół na Pradze ma kosztować tylko setną część tego i musi być wzniesionym jaknajprędzej, za dni naszych.

Już jutro sąd konkursowy przyzna jednemu z ubiegających się palmę pierwszeństwa — ogłosi nazwisko budowniczego najzdolniejszego i zarazem obywatela równie gorliwego jak jego koledzy. Nie uprzedzając wyroku domysłami, powtarzamy za opinią, że najwięcej zwolenników mają projekta oznaczone godłami: „Kotwica” — „Dary” — „Krzyż i kotwica” — „Lux” — „Faederis arca” — „Sursum corda” — „Krzyż w kole czerwonym” — „Bukieciak” i kilka innych; między wymienionemi najsympatyczniej przemawia do uczucia projekt z godłem „Z nad brzegów Wili”. Ten kto go wykonał posiada talent pierwszorzędny i pracowitość wielką; pomysł piękny, rysowanie artystyczne, obfitość plansz przechodząca nawet wymagania konkursowe. Szczęśliwy budowniczy z Wilna miał przed oczyma wzór arcydzieła, ów malutki kościółek wileński Ś-tój Anny, o którym Napoleon I-szy wyraził się, że gdyby mógł przenieśli go do Paryża własnymi rękami. Projekt na kościół pragski przypomina wielce arcydzieło z nad Wili, tylko rozszerzone, wywyższone, zastosowane do potrzeb parafii, która dziś już liczy blisko 40,000 mieszkańców i z każdym rokiem szybko wzrasta.

Kto nagrodę otrzyma, temu będzie sława, ale i tym co zostaną poza nim należy się szczerza wdzięczność za to, że stanęli na wezwanie, chociaż nie zapchają sobie kieszeni tylko zadowolnią serce spełnionym obowiązkiem, do jakiego powołała ich sprawa religijna i cześć dla sztuki ojczyźnej.

W kilku numerach ustąpiłem miejsca historii dni żalobnych, które mają się zakończyć złożeniem czcigodnych zwłok ś. p. Kraszewskiego w grobach zasłużonych na Skałce. Dla kronikarza już nic nie zostało do dodania... westchnienie za przyjaciela naszego pisarza wyrwało się i z jego piersi... ale westchnienia tego nie wypowie kronikarskie pióro—więc o tém co się w duszy działo zamilczę a natomiast z pracy nieodżałowanego męża chcę wyciągnąć pożytek dla tych, którzy zdobyli się na język uczciwy mówiąc o zasługach olbrzyma.

Istnieją u nas organa prasy, istnieją literaci i dziennikarze, których usta przechodzą z bladaczki śmierci do purpury życia wówczas dopiero, kiedy poczną wyrzucać słowa niegodne człowieka wolnego; sądzą, że nie można bronić swych przekonań bez oszpecania ust wymysłami—dla nich błoto ma znaczenie deszczu ognistego, czelność znaczenie odwagi. Niechże ta rozczochrana falanga pisarzy naszych, którym nie podobna odpowiadać bez ubliżenia sobie i swemu piśmu, spojrzy na pracę zmarłego pisarza, który w swjej wszechdziałalności literackiej nie pominął ani jednej, najdrażliwszej nawet kwestyi społecznej, czy literackiej... a jednak nigdy, nawet w najwyższym oburzeniu nie zapomniał, że przemawia językiem polskim. Ludzie słuchali go, chociaż mówił bez werwy, jak utrzymują amatorzy brutalstwa; słuchali go, chociaż nigdy pióra nie nadużył.

Do wielu wielu zasług zgasłego męża należy i ta szlachetność mowy jego. Czy z tego przykładu skorzystają dziennikarze rozmiłowani w jaskrawej napaści? Może chwila, w której zdobyli się na przywoity nekrolog, opamięta ich; poprawa obyczaju głębszym będzie hołdem niż wspomnienie pogrzebowe z ręcznie ułożone.

SĘP.

## STABAT MATER.

Stała pod krzyżem!... to serca Jój dzieje...  
Nie więcej nad to sam Jan nie opowie;  
On złotousty — wobec Niej niemieje...  
I Pismo milczy — i milczą świadkowie.

Gdy Magdaleny łono pokutnicze  
Wybucha strasznej żalości wulkanem:  
Katuszy Matki bezdno tajemnicze  
Jest niezmaconej ciszy oceanem.

Stała... to wszystko!... Tam gdzie były młoty  
W ciało Jój Syna — Ona stała blada...  
Pod kaźnią krzyża — na górze Golgoty;  
Stała — choć ziemi chwiała się posada.

Stała... O Matko! To jedyne słowo  
Nadziemską wielkość Twych cierpień ogarnia;  
Ty Męczenników masz zostać królową —  
Królewską musi być Twoja męczarnia!

Bo gdy Syn w niebie Twój tron oprzemieni  
Zwycięzkim chwały Swojej majestatem —  
Męczeńska palma Twoja się zamieni  
W wieczyste berło litości nad światem!...

A. F.

# HERB NA GIELDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

## XIII.

Ponad stolicą państwa przeciągnęła straszna burza; zdawało się, że szeroki Dunaj porwany wirem w powietrze przepłynął ponad domy wesołego miasta. Pierwsze gromy minęły, ale jak straszny widok zostawiły za sobą.

Ludzie biegali po ulicy jak obłąkani; stawali przed tym i owym pałacem, wołając: I ten dom upadł!

Domy stały jak dawniej, a ci, co tak wołali, podobni byli do istnych waryatów. Zmięte, podarte szaty, zabłocone buty i włosy rozburzone zdradzały pomieszanie zmysłów. Ich oczy świeciły się jak oczy wilka; twarze pały gorączką a zęby szczyrzyły się jak u hyeny.

Biedni ludzie! Domy magnatów giełdy nie runęły, jak się w gorączce zdawało, nie zapadły się złocone balkony i karyatydy kamienne — tylko przepadło całe mienie owym domom handlowym, bankom i spółkom powierzone.

Stolica naddunajska była jednym, wielkim obrazem rozpaczcy. Fałszywie pojęty zysk i zarobek wyprawiał teraz orgie piekielne.

Spółki, które miały zarabiać miliony, banki, które dawały niesłychane procenta, przedsiębiorstwa mające wypłacać bajeczne dywidendy — wszystko to runęło jak karciane zabawki dzieci.

Apostołowie tak zwanęj fruktyfikacyi kapitału pochowali się w nory, na placu zostały poległe ofiary przewrotności lub zbroczenia umysłowego.

Piekielna teoria łatwych zysków oszukała zacną pracę i oszczędność, wydobyla z najciemniejszych kryjówek grosz ciężko zarobiony i utopiła go w bezdennęj paszczy nowożytnego molocha.

Nowi ludzie podnieśli się nagle z cuchnącego śmiecia, nowe pałace wystrzeliły z ziemi a miliony skromnych pracowników popadło w nędzę i ubóstwo.

Liczne samobójstwa znaczyły szlaki nieszczęśliwych a domy obłąkanych zapelnily się tymi, którzy nie mieli odwagi targnąć się na swoje życie.

Jeszcze świeciła nad miastem łuna przebytych orgij giełdowych, jeszcze tu i owdzie pękała spóźniona bomba, jeszcze słyhać było trzask rozpadających się gruzów; dzienniki stolicy notowały jeszcze skrętnie różne katastrofy tragiczne, jakim ulegały całe rodziny; przed domami spółek i banków gromadziły się jeszcze tłumy, grożąc słowem i pięścią ich mieszkańcom i funkcyonaryuszom.

Przy jednęj z nowych ulic, utworzonych z dawnych fortecznych wałów miasta, stał dom okazały o żelaznych na dole okiennicach. Zaraz przy bramie były drzwi z matowego kryształu, a na nich napis złoty: *Kantor wekslu*; nad drzwiami było nazwisko wekslarza: *Joachim Rotszyld*. Wszystkie okna od tych drzwi aż do rogu były opatrzone kratami złoconemi.

Przez bramę wchodziło się na obszerny dziedziniec, w głębi którego świecił się czerwony napis: *Geld für Alles, pieniądze za wszystko!* Pod tym napisem była firma tęg szlachetnej instytucyi, ale tak nieczytelna, że jęg od razu odczytać nie było można.

W samym rogu były wązkie drzwi żelazne, prowadzące do korytarza tak wązkiego, że tylko jeden człowiek mógł się przesunąć. Ci, którzy ten korytarz znali, nazywali go z węgka *korytarzem westchnień*. Prowadził on do sklepionych suferyn, w których wieczny zmrok panował. Z suferyn wychodziło się na boczną, ciasną uliczkę. Było to główne wejście do drugięj instytucyi innęg firmy, która na niepokaźne zastawy pożyczala pieniądze.

Jakkolwiek p. Joachim Rotszyld w przyjacielskich kółkach swoich nazywał się bankierem, a w dalszych wekslarzem; jakkolwiek z tylnemi firmami nie miał nic wspólnego, opinia jednak całej ulicy uważala go za głowę wszystkich w tym domu znajdujących się instytucyj, nie wyłączając nawet kawiarni po drugięj stronie domu, a obsługiwanej przez pleć nadobną. Były to wprawdzie inne firmy, ale razem miały stanowić rodzinę bogatego człowieka.

Firma domu: *Joachim Rotszyld* nie miała nic wspólnego ze znaną europejską firmą. Przypadek jednak takiego nazwiska posłużył nieznanemu dotąd człowiekowi wznieść się w tych czasach dosyć wysoko; liczne inseraty w dziennikach krajów koronnych zwabiły mu znakomitą klientelę. Mniemano, że to filia owęg firmy europejskiej; powierzono jęg ważne interesa giełdowe, bo ze wszystkich firm bankierskich najwięcej obiecywała.

Ofiarą tęg zrecznej mistyfikacyi padła także Galicya. Znalazło się wielu amatorów gry giełdowej, którzy tęg firmie swoje kapitały oddali.

Katastrofa tak zwanego krachu dotknęła także fałszywego Rotszylda; ogłosił on wielkie straty na losach tureckich i Anglobanku, i postanowił wycofać się z dotychczasowego zawodu.

Sprowadziło to niemało kłopotów na biednego wekslarza. Klienci napadali go masami, grozili mu a niektórzy nawet dopuścili się na jego osobie czynnej satysfakcyi.

Jedno z tych zadośćuczynień stało się głośnem w całej stolicy. W eleganckiej kawiarni, gdy p. Joachim przy jakimś wyszukanym napoju siedział i językiem cmokał, przystąpił do niego jakiś butny jegomość i wobec licznych jego przyjaciół nazwał go złodziejem, podłym psem, zarzucił mu szacherkę; a gdy p. Joachim zamiast odpowiedzi opieki policyanta zażądał, uderzył go jegomość najprzód kijem sękatym w kapelusza a potem zamaszystą dłonią w twarz po obu stronach. Na domiar pogardy plunął jeszcze na niego.

Potrójna ta obelga była już spełnioną, gdy policyant nadszedł. Na marmurowym stole przed p. Joachimem leżała tylko karta wizytowa śmiałego mściciela poszkodowanych, z nazwą ulicy i numerem domu, schodów i drzwi, które do nich prowadzą.

Była to figura znana, zajmująca wyższe stanowisko w mieście. Przyjaciele p. Joachima orzekli jednogłośnie, że obelgę taką może tylko pojedynek zmasać. Do tego jeszcze roznieśli tę awanturę wszystkie dzienniki stołeczne i napomknęły przytem, że p. Joachim zażąda od przeciwnika zadośćuczynienia bronią honorową.

Zrazu myślał p. Joachim, że zamknąwszy się w swoich bogatych komnatach przeczeka głupią opinią, która mu strzelać się każe. Przeciwnik jednak nie dał mu spać spokojnie, na zdobytych szacherką pieniądzech; w dziennikach pojawiały się inseraty codzienne z zapytaniem, czy p. Joachim Rotszyld załatwił już sprawę honoru? Humorystyczne pisma wzięły go za przedmiot różnych dowcipów i rysowały karykatury z niego. Raz przedstawiały go w żelaznym pancerzu, w jaki odziewają się okrety wojenne, drugi raz ubierały go w pierzynę i poduszki — stosownie do tradycyi rodowej. P. Joachim nie mógł spać ni jeść... i na cóż przydały mu się jego pieniądze?

Widział on konieczną potrzebę pojedynku, ale nie mógł o nim pomyśleć bez drżenia, które go potem oblewało. Przypisywał to rozdrażnieniu nerwowemu i osłabieniu sił fizycznych. Wezwał lekarzy, karmił się chiną i żelazem, ale to nic nie pomogło. Groza pojedynku sprawiała mu śmiertelną drgawkę. Dziwił się, jak mogą ludzie z zimną krwią strzelać do siebie. Przyjaciele ubolewali nad nim i wyraźnie mu powiedzieli, że tak dalej zostać nie może. Zagrozili mu, że go opuszczą, jako człowieka shańbionego.

P. Joachim Rotszyld był blizkim rozpaczcy. Przypadkiem czy też z umysłu przysłano mu broszurę, która miała tytuł: *Elektryka, środek na wszystko*.

Broszurę tęg przeczytał jednym tchem. Lekarz — materyalista — dowodził w nięg, że wszystkie szlachetne popędy w człowieku zależą od mniejszych lub większych prądów elektrycznych w jego nerwach. Dowodził, że zapomocą wynalezionęg przez niego maszyny elektrycznej można w sobie rozbudzić mniejszą

lub silniejszą energią, zapał, odwagę, a nawet myśli niepowszednie, które dotąd były przywilejem geniuszów i talentów.

Otóż pan Joachim Rotszyld, idąc za poradą tego uczonego, kupił maszynkę elektryczną i rozpoczął kurację.

Kuracja przyniosła świetne skutki. Codzienne pochłanianie elektrycznych prądów wróciło mu młodość; podwoiło energią i popchnęło go do pomysłów prawdziwie genialnych. Zrobił kilka świetnych choć bardzo ryzykownych interesów, wspólnika swego okpił zręcznie na grubą sumę a od biednych ofiar swoich potrafił jeszcze wyludzić ostatek mienia.

Ale ta rozbudzona energia przyniosła mu tylko nowe obelgi, a o pojedynku nie mógł ani na chwilę pomyśleć.

Wesołe dzienniki wnosiły ztąd, że elektryka może w człowieku tylko to spotęgować, co w nim jest, ale tego dać nie może, czego w nim niema. W panu Joachimie zdwoiła ona tylko energią—do zachraństwa, ale odwagi do pojedynku mu nie dała.

P. Joachim targał się za włosy, pluł z gniewem na dywany francuzkie, potraçał z pogardą worki z pieniędzmi w swoich kasach żelaznych, ale o pojedynku nie mógł ani na chwilę pomyśleć. Wymówiony ten wyraz chwycił go kurczowo za serce, kolana zginały się pod nim, ciarki biegały po grzbiecie.

I na cóż mu wszystkie jego bogactwa? W dziedzińcu jego domu błyszczy napis: *Pieniądze za wszystko, Geld für Alles*. W dawnych marzeniach swoich przekręcał nieraz te wyrazy na: *Alles für Geld! Wszystko za pieniądze!*... Dzisiaj fatalne te słowa nie dadzą się przekręcić, wszystkiego za pieniądze dostać nie można.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## PRACA OLBRZYMA.

Dziś jeszcze widzę na moim studenckim stolczku małą szarą książeczkę, jak to wówczas mówiono, barszczem na bibule drukowaną, a noszącą pełen fantazyi tytuł: „Improwizacja dla moich przyjaciół — Książeczka do zapalania fajek”. I widzę siebie, małego studencika, ale ciekawego do książki, jakimi byliśmy wówczas prawie wszyscy, podpartego na ręce, zadumanego i nie mogącego sobie dać rady z myślami i wrażeniami wywołanymi czytaniem tej „improwizacji”.

Treść jej była szczupła — jakieś kilkadziesiąt niewielkich kartek—ale wszystko w niej było takie jakieś nowe, takie inne od tego wszystkiego, co się dotąd czytało. Wiało z tej drobnej książeczki coś ciepłego, świeżego, przemawiało do duszy jakimś językiem niezwykłym, nie owym sztucznym, książkowym, do jakiego byliśmy przywykli, ale naturalnym, pełnym werwy i swobody; młodociane umysły mimowolnie i bezwiednie ulegały czarowi wydobywającemu się z tych szarych kartek, nie umiając sobie zdać sprawy z tego psychicznego procesu, jaki się w nich odbywał. Pamiętam naprzykład, że ów garbus szpetny, bez wargi, rzucający się pod drobne stopy dziewczęcia, aby sobie buczków w błocie nie powalało, a potem kupujący toż samo dziewczę za złoto, przyśnił mi się w nocy kilka razy, a „niebieskie migdały” sprawiły, iż nieraz zamiast o lekcji, o nich rzeczywiście myślałem.

To co mówię o sobie, rozumie się o wszystkich mniej więcej moich rówieśnikach, charakteryzując wpływ, jaki pierwsze utwory Kraszewskiego wywarły na najmłodsze ówczesne czytające pokolenie. Ale i starsi obronić mu się nie mogli; kobiety szczególnie, zawsze pohopniejsze do uznania i przyjęcia nowych prądów, stały się odrazu gorącymi zwolenniczkami młodego pisarza; zdaje mi się, że pierwsze jego utwory do rąk moich dostały się z rąk mojej matki. Pleć brzydka kręciła głowami na złośliwe wybryki pana Kleofasa Fakunda Pasternaka, ale jednak nie mogła oprzeć się ciekawości, a raczej urokowi, i książeczki czytała.

Pamiętam później innego już rodzaju wrażenia, jakie na nas, uczniach klas wyższych, sprawiło ukazanie się powieści „Poeta i Świat”. To co dziś uważane jest poniekąd za ostatni, bodaj spóźniony już odbłysek romantycznego *Weltschmerzu*, tak

przypadło do ówczesnego ogólnego nastroju dusz młodych, iż każdemu z nas zdało się, że autor część jego własnych dziejów włożył do swjej powieści, że zajrzał w jego duszę i wyniósł z niej na pokaz światu co miała najdroższego. Zazdroszczono tym, którzy otrzymali na chrzcie świętym rzadkie naówczas imię—Gustaw—które nosił poeta-bohater powieści.

Powieść ta, jak ustaliła w ogóle wziętość Kraszewskiego, tak nas podbiła dlań zupełnie; odtąd śledziliśmy pilnie za wszystkiem, co wyszło z pod jego pióra. Najbardziej z kolei zajęła nas „Latarnia czarnoksiężka”; mieliśmy jakby przecucie, że ten barwny szereg najróżnorodniejszych obrazów i obrazków, rzeczywiście jak w latarni czarnoksiężkiej przesuwający się przez dwie seryje tej publikacji, jest niejako zbiorem szkiców, kanwą na której snuć się będzie dalsza działalność Kraszewskiego jako powieściopisarza.

Jeszcze później, a byliśmy już wówczas na uniwersytecie, zaintrygowała nas tajemnicza postać bohatera w „Sfinksie”; nie mogliśmy jej dobrze zrozumieć i jeden z nas, Łepkowski, dzisiejszy profesor archeologii i rektor Magnificus uniwersytetu Jagiellońskiego, ośmielił się napisać do autora, prosząc o objaśnienie. Kraszewski, swoim zwyczajem, odpisał niebawem; co? to już czterdziestoletni z górą przeciąg czasu zatarł w mojej pamięci, ale nie wiem, czy szanowny rektor odpowiedzi tej po dziś dzień nie przechował. Komentarz ten byłby ciekawym przyczynkiem do historii powieściowych kierunków Kraszewskiego.

Tyle ze wspomnień młodzieńczych. Później, kiedy życie rozbiło naszą młodą falangę, kiedy wreszcie przestaliśmy być młodymi, każdy z nas śledził już i oceniał pisarską działalność Kraszewskiego z osobna, ze stanowiska przekonania i poglądów, jakie w nim doświadczenie, stosunki i położenie w świecie z czasem wyrobiło; w każdym razie jednak, tak przynajmniej myślę wnosząc z siebie samego, w sądach naszych o niej odzywała się zawsze ta sympatyczna struna, którą pierwsze młodzieńcze wrażenia między nami a wielkim pisarzem nawiązały.

Choć Bogiem a prawdą, działalność ta mogła się wybornie obejść bez owej specjalnej sympatyj; zdobywała ona ją sobie przebojem u wszystkich ludzi rozumnych i bezstronnych, u wszystkich, którym poglądu nie paczyła zawiść albo widoki i interesa stronnice.

Kraszewski zbudziwszy społeczeństwo nasze z apatyj, w jaką po roku trzydziestym popadło, obudziwszy w nim chęć do czytania i przekonawszy je, że książki polskie czytać warto, znalazł się nagle sam jeden, w konieczności zaspakajania tych wywołanych przez siebie potrzeb, dostarczania karmy zaostrozemu przez siebie apetytowi. Inny byłby się uląkł przed tém zadaniem, a w najlepszym razie byłby mu nie sprostał; On, nie—ani się nie uląkł, ani nie cofnął; przeciwnie, znalazł się w swoim żywiole. On z góry wiedział co go czeka i był na wszystko przygotowany; to co go spotykało, wchodziło właśnie w jego cele, w jego programat, który tak jasno i kategorycznie wyklada w liście do Placyda Jankowskiego: „Mnie nie chodzi wcale o *siebie*, o *moje* pisma. Inny mam cel... Nie wierzę w nieśmiertelność literacką i niewiele stoję o sławę; mnie chodzi o to, aby pismami swemi, przykładem, krzykiem, biciem i t. d., poruszyć, rozruszać, zachęcić, aby otworzyć drogi drugim, rozrzucić kilka idei, błędzących mi po głowie. Oto mój cel, oto sława której pragnę — sława pobudziciela. Dlatego to ja nie wypracowuję tego co piszę, ani dbam o przyszłość pism moich. Chodzi mi abym zachęcił tylko, abym rozgrzał do pracy. Jedną drogę otworzywszy, rzucam się na drugą. Tak piszę, tak żyję i pragnę, aby kiedyś o mnie tylko to powiedziano, że się przyczynił do obudzenia ruchu umysłowego z moich czasów.”

Temu programowi pozostał wiernym przez całe życie i przez cały długi a tak płodny zawód pisarski; z tego stanowiska sędzić należy jego prace i działalność. Widzimy go rzeczywiście przerzucającego się z jednego pola na drugie, z powieściopisarza przetwarzającego się w historyka, z historyka w poetę, z poety epickiego lub lirycznego w dramaturga, to znów w publicystę i t. d. Zdaje się, że ten człowiek ma serce i rękę; jedną pisze wielkie epos litewskie, drugą wyprowadza na scenę Tęczyńskich lub Radziwiłła Panie Kochanku, inną zbiera dokumenta do historii obyczajów w Polsce, inną gromadzi ma-

terywały do dziejów sztuki, inną, a ta musi być bardzo długa, z Gródka redaguje miesięcznik literacki „Atheneum”, wychodzący w Wilnie, a już co powieści i listy do wszystkich niemal czasopism polskich, to literalnie sypie z rękawa.

Niespożyta była pracowitość Kraszewskiego a cudowną niemal łatwość i szybkość tworzenia. Dość pomyśleć, że człowiek ten, który w życiu swoim *napisał* więcej niż inny zdołałby *przepisać*, nie wypuszczając pióra z ręki, znajdował zawsze czas na zadośćuczynienie stosunkom towarzyskim a nawet na takie rozrywki jak malarstwo i muzyka. Zdawało się, że on niczem nie jest zajęty; przez dzień czytał, grał, malował, przyjmował lub oddawał wizyty; nocami tylko pisywał i to nie dłużej jak od 10 do 1-jej. Ale wtedy, po przygotowanych już kartkach papieru pióro ślizgało się z szybkością błyskawicy; miał już do tego wyrobiony charakter pisma, napozór bardzo nieczytelny, wyglądający jak bardzo regularne szeregi kropek i kresek, ale wyraźny dla każdego kto się z nim choć trochę obeznał. Charakter ten był rzeczywiście wyrobiony z czasem, naumyślnie do prędkiego pisania, w początkach bowiem zawodu Kraszewski pisał inaczej.

Nie dziwnego, że w ogromie tej olbrzymiej, gorączkowej na pozór pracy trafiają się omyłki, usterki, przeoczenia; w przytoczonym liście do Jankowskiego zrezygnował się na nie ten Atlas piśmiennictwa naszego, jako na rzeczy nieuniknione przy wykonaniu zakreślonego działalności swojej programu; ale ogół tej działalności imponująco wygląda. Niema sprawy, niema chwili, niema kierunku ważniejszego dla naszego społeczeństwa, którego by Kraszewski nie podjął, nie obejrzał i nie ukazał w świetle, w jakim mu go sumienie jego obywatelskie postawić kazało. Cykl jego powieści obejmuje wszystkie wady i ułomności, cnoty i zalety, wszystkie prądy, wszystkie warstwy tego społeczeństwa, sięgając od chaty do pałacu, od *Ostapa Bondarczuka*, *Jaryny* i całej seryi powieści ludowych, aż do *Morituri* i *Resurrecturi*. A jednak starczyło mu jeszcze czasu i wątku na odtwarzanie życia innych społeczeństw, i to z epoki odległej starożytności, i na tworzenie takich arcydzieł, jak *Rzym za Nerona* a zwłaszcza *Caprea* i *Roma*.

Obok tych setek utworów powieściowych, mamy jego poważne i ważne prace historyczne, mamy poetyczne utwory niepośledniej wartości: mamy jego działalność publicystyczną jako redaktora „Gazety Codzienną”, dzisiejszej „Polskiej”, mamy wreszcie owe przez parę lat wydawane „Rachunki”, które mu najwięcej niechętnych narobiły, w których popełnił najwięcej omyłek przez niego samego później uznanych, ale które mieszczą też mnóstwo poglądów bystrych i trafnych i świadczą o cywilnej odwadze rachmistrza. A przecież wziąć jeszcze trzeba do sumy jego pracy kolosalną korespondencją, jakiej żaden piszący człowiek nie prowadził na świecie, i która wydana, sama jedna utworzyłaby tomów kilkadziesiąt.

A dziwną zaprawdę siłę posiadał ten umysł niezwykły: w ciągu pięćdziesięciu kilku lat tytanicznej pracy nie osłabł ani na chwilę, zachował energią i świeżość do samego prawie końca. Działalność Kraszewskiego nie ma epoki kulminacyjnej ani epoki upadku; są w niej punkta ciemniejsze nieco i jaśniejsze, ale te zależą od chwilowego raczej usposobienia, od jakichś wpływów przygodnych, a nie od czasu, nie od wieku pisarza. Jeśli młode jeszcze pióro może się chlubić takim np. szeregiem powieści ludowych, jeśli ozdoba jego twórczości z lat dojrzałych jest cykl powieści z czasów saskich a poczęści i z czasów Stanisława Augusta, to już pod koniec zawodu wytryska mu z pod pióra taka *Stara Basń*, albo późniejsza jeszcze od niej *Noc Majouca*, wyglądające na perły powieściowego repertuaru, jakiegoś młodego utalentowanego pisarza. Wiadomo zresztą, że Kraszewski ledwie na parę dni przed śmiercią wypuścił pióro z ręki.

W r. 1832, przesyłając matce list z powinszowaniem, pisze, że wówczas dopiero spocznie, kiedy wyda ze dwieście tomów dzieł, kiedy będzie sławnym, ślepy, sparaliżowanym i bogatym.

Dotrzymał słowa, a nawet zrobił więcej niż obiecywał. Spoczął dopiero wtedy, gdy oczy nie tylko liter ale nic już ujrzyć nie zdołały, gdy głowa myśli snuć przestała,—ale wprzód dużo więcej niż dwieście tomów napisał i stał się więcej niż sławnym, nie zostawszy ani ślepy, ani sparaliżowanym, ale też niestety ani bogatym.

Zato społeczeństwu swojemu zostawił olbrzymi skarb, nie tylko w ogromie i wartości dzieł swoich, ale w przykładzie życia, którego ani jedna chwila nie poszła na marne.

Gdybyż społeczeństwo wzięło ten przykład do serca!...

C. G.

## We dworze ksiądz pleban poświęci.

Alleluja! Wesoly nam dzień dziś nastał!

Tak się witali nasi ojcowie w dzień radosny w Kościele, w dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Podniecone tą wspólną radością uczucia stawały się lepszymi, szlachetniejszymi: bogaty bratał się z ubogim, chata zbliżała się do dworu, wszyscy czuli się naprawdę braćmi, synami jednej wspólnej macierzy.

Wyrazem tego zbliżenia się, tego braterstwa były tradycyjne obrzędy, które zachowywane zarówno po wsiach jak po miastach, w tych ostatnich pełzły powoli pod wpływem prądów kosmopolitycznej cywilizacji, gdy na wsi dochowały się do dziś dnia niemal w pierwotnej swojej patryarchalnej i serdecznej czystości.

Do takich zwyczajów należy wspólne święcenie we dworze jaj i kołaczy, do takich jeszcze bardziej wspólne spożywanie jajka święconego przez dziedziców z gromadą, ze służbą i czeladzią.

Oto na naszym obrazku dziewczę niesie przygotowane do święcenia jadło do dworu, gdzie „ino co nie widać” księdza proboszcza; czeka ich tam już mało wiele. A zanim jegomość nadjedzie, panienki dworskie wybiegną do dziewcząt, pochwalą kołacze, zapytają się co słyhać w chacie, czy zdrowi tatuś i matusia, jak się chowa rodzeństwo, które znają dokumentnie po imieniu.

Pocziwem słowem, szczerem uczuciem, nawiązuje się tu złota nic powinowactwa moralnego, która silniejsza niekiedy od związków krwi, snuć się będzie przez dalszy wątek żywota, w radości i smutku, w doli i niedoli, i trzymając w skupieniu słoje społeczne, ratować je będzie w chwilach krytycznych od rozpacz i rozbicia.

Im cięższe czasy, tém bardziej ludzkie dzieci kochać się i wspierać wzajemnie powinny. Gdyby z serc ludzkich można było wyrugować zadawnione, słuszne czy niesłuszne urazy, gniewy i zawiści, gdyby nad wszystkimi ujemnymi uczuciami, miłość bliźniego i ogólnego dobra zapanowała, jeszcze dzień Zmartwychwstania Pańskiego mógłby się stać dniem zmartwychwstania ludzkości.

I wtedy moglibyśmy z głębi duszy wykrzyknąć:

Alleluja! Wesoly nam dzień dziś nastał!...

## Z KSIĄŻKI I Z ŻYCIA.

Jubileusz niezależności Szwajcaryi.—Setna rocznica śmierci Fryderyka II.—Z pamiętników pruskiego Machiawela.—Armie Bourbakiego w Szwajcaryi

Kiedy Szwajcaryja obchodziła jubileusz swój niezależności, Prusy obchodziły setną pamiątkę śmierci Fryderyka II. Polityka tego króla znana już dawno światu i dawno została osądzoną; był to machiawelizm, który do dzisiejszego dnia nie przestaje cechować przedstawicieli jej w Prusach. Aby ją poznać, dość przejrzeć dzieła Fryderyka II i korespondencją po nim pozostałą:

„Dopóki kraj ten, pisze Fryderyk o Prusach, nie stanie na silniejszej podstawie i nie ustali swych granic, powinien być rządzony przez ksiąząt, mających się zawsze na baczności i umiejących wyzyskać każdy błąd swoich sąsiadów.”

„Pamiętaj raz na zawsze, pisze w radach dawanych synowcowi, że zasadą mądrej polityki jest: brać gdzie można, i że ten tylko jest nierozsądnym, kto zmuszony jest oddać. Dlatego nie uwodź się nigdy wstydem fałszywym i nie cofaj przed przymierzem dla interesu, krzywdzącem innych, jeżeli tobie tylko korzyść zapewnia. Interes własny miej przedewszystkiem na

oczach. Korzystaj z każdej sposobności, uciekaj się do każdego wybiegu. Trzymaj się zawsze tej maksymy, że ograbiąc sąsiadów jest to odejmować im możność szkodenia tobie.”

W przedmowie do swego życia innemi wyrazami wypowieda to samo: „Słowo prywatnego człowieka pociąga za sobą nie-szczęście dla jednostki, słowa panujących ściągają klęski ogólne na całe narody. Sprowadzić to można do tego pytania: czy lepiej, że naród przepadnie, czy, że książę zobowiązuje swe złamie? Któż byłby tyle niedorzecznym i wahał się z odpowiedzią.”

„Gdybym Szwajczerów zdobył, pisze gdzieindziej, starałbym się przekonać Austrię, że zabrałem go dla jej własnego dobra, w tym celu tylko, by go jej kto inny nie wydarł; poczem, skłoniłbym ją do odstąpienia go nam za wyświadczenie jej tak znacznej przysługi. Rozumiem przez to, że należy zawsze starać się oszukać innych.”

To samo powtarza w liście swym do Padewilsa: „Jeżeli zysk da się pogodzić z uczciwością, postępujemy uczciwie; jeżeli zaś potrzeba będzie oszukiwać, bądźmy oszustami.”

Czyż można z większym cynizmem najgrawać się z wszystkiego co święte i słuszne? Czytając te rady, zdaje się słyszeć starego lisa, zaprawiającego młodego do rozbójstwa.

Ale żaden samolub, nawet genialny, nie sprowadzi ludzkości z drogi, jaką jej Opatrzność wytknęła — przeszkodzi on jej do prędkiego postępu, zatamuje chwilowo oddech, skrępuje lecz w końcu ustąpić musi i poddać się prawom nie mocniejszego lecz szlachetniejszego. I maksymy Fryderyka II nigdy nie staną się ewangelią dla narodów, tak jak nie stały się przykładem do naśladowania zwycięstwa pruskie odniesione nad Francją; — prusacy gromili, ścigali, tępilli, siła tryumfowała ale narody nie były czołem przed pogromcą, przeciwnie, spółczyły ze zwyciężonym — miały dla niego serce, chleb i dach.

Pośród tylu pomników zdołałych gród nadsekwański, brak dotąd jednego: mam na myśli kolosalny pomnik Szwajcaryi, podnoszącej rannego żołnierza francuzkiego; byłby to objaw wdzięczności narodowej za ocalenie przed nieprzyjacielem armii Bourbakiego w 1871 r. Potómkowie Tella i Winkelrieda okazali się w nieszczęściu szlachetni i pełni odwagi.

W nocy 1 lutego, pisze generał Ambert, mieszkańcy Verrières ujrzeli przybywającego generała Herzoga, komendanta armii helweckiej. W dwie godziny potem oficer francuzki, przysłany od generała Clinchant, stanął przed generałem szwajcarskim. Był okryty śniegiem, drżał z zimna i przyszedł traktować o warunki przejścia armii francuzkiej przez terytorium szwajcarskie. Czas naglił; prusacy następowali już na pięty; przy blasku lojówki spisano ugodę.

W francuzkiej części Verrières, czekał człowiek spokojny na pozór, lecz dręczony wzruszeniem. W ciasnej izbie dwóch żołnierzy rannych leżało na łózkach, inni spali na podłodze; nie można było zrobić kroku bez potrącenia o rękę lub nogę.

Czekający niecierpliwł się coraz bardziej i trwożył, co chwila sięgał po zegarek; był to generał Clinchant, ostatni dowódca armii wschodniej. Poza nim stał milczący szef sztabu i kilku oficerów, dalej nieco właścicielka stancyi, staruszka, z rękami założonemi pod fartuchem, i córka jej, prawie dziecko, patrząca z osłupieniem na to, czego nie rozumiała.

Usłyszano szmer; Clinchant powstał. Dwaj oficerowie weszli z konwencyą i doręczyli ją generałowi; przebiegł ją prędko i oddał szefowi sztabu, mówiąc: „Nie traćmy chwili, dzień zaraz się zrobi.” Narada trwała krótko. Za chwilę w tej nędznej izbie podpisano ugodę, która 85,000 żołnierzy wyrwała z rąk nieprzyjaciół. Niebawem w całym obozie dał się słyszeć krzyk: „Do Szwajcaryi, do Szwajcaryi, przejście wolne!”

Wejście zaczęło się wąską drogą, wyżłobioną pomiędzy dwiema ścianami śniegu; każdy żołnierz wchodzący, rzucił ładownicę i broń na skraj drogi, gdzie przez kilka dni tworzyły szaniec na dwa metry wysoki. Defilada trwała bez przerwy dwie doby; pierwsza przeszła artylerya z działami i jaszczkami, w jaknajlepszym porządku. Jeden w drugiego ludzie piękni, rośli i zdrowi, z miną rezolutną i wejrzeniem łagodnym. Oficerowie, każdy na swém miejscu, postępowali z powagą i godnością.

Wszyscy patrzący zdawali się mówić: Co za nieszczęście! dojsz aż do tego, mając takie działa! Gdy częstowano żołnierzy winem: „Dziękujemy, mówili oni, schowajcie je dla tych, co idą

za nami.” Te pułki szły w porządku, lecz inne! lecz tłumy! Wyobraźmy sobie ciżbę rozproszoną, tłoczącą się wszystkimi przejściami nie tylko w Verrières, lecz po wszystkich dolinach Jury. Pułki rozbite, bez wodzów i sztandarów, biegały na oślep i wpadały w liczbie 10,000 lub 20,000 ludzi do jakiej nędznej mieściny, nie przygotowanej na ich przybycie.

Litość brała patrzeć na konie; wychudzone, powłóczące nogi, wyciągając szyje, ze zwieszonemi łbami, utykając co krok, gryzły korę drzew, liny, baryery, koła dział, lub wyrwały sobie włosy i żarły je z głodu. Na pochyłych drogach nieszczęśliwe zwierzęta upadały pod jeźdźcami lub przed furgonami; staczające się działa wlokły je na sam dół; porzucano koniska na drodze, gdzie zamierały powoli. Wszystkie drogi, od Héricourt aż do doliny Travert, pokryte były ich zwłokami. Ludzie snuli się beładnie pomiędzy kołami tysiąca wozów zawałających drogę lub wysypywali się strumieniami na planty drogi żelaznej. Nie była to już armia; odwrót z pod Berezyny nie przedstawiał chyba tak oplakanego widoku.

Oficerowie nie starali się już nawet utrzymać porządku; szli w sandałach, w pantoflach, wśród żołnierzy bez obuwia, oddzierających sobie poły, by nogi skostniałe osłonić. Zapadali w śnieg po kolana, wlekli się powoli, zgarbieni, z głową zwisłą, z czerwonymi oczami, z obrzmieniem na wargach. Tak przeszli dragoni, ulani, spahi, turkosy, żuawi, wolni strzelcy, mobile i żołnierze liniowi. Ci w wielkich płaszczach czerwonych lub białych, ci w kurtkach granatowych lub niebieskich, inni odarci, inni potulani w kołdry, suknie kobiece, franki!

Wszystkie nakrycia głów defilowały; od fezu arabskiego do pirenejskiego beretu... brakło tylko kaszkietu żołnierza.

Ta ciżba chaotyczna pozostawiała jeszcze ciżbę za sobą — byli to chłopcy nieletni skazani na śmierć. Postępowali za wojskiem przez tydzień i z obrzmiałemi nogami zatrzymali się na drodze; towarzysze myśleli, że pomarli i nie troszczyli się o nich; Nie mieli już ani przewodników, ani towarzyszy i nie wydzielało im żywności. Patrzano jak umierali w rowach przydrożnych, z głową na tornistrze, ze strzelbą na piersi... za nimi szli prusacy, za prusakami sępy!

Niektórzy z tych malców dostawali się do Szwajcaryi żywi jeszcze; lecz postępowali machinalnie, nie wiedząc gdzie idą, dawali się zabijać Niemcom, którzy z daleka, z tyłu, do ostatniej godziny, bez iskiarki litości strzelali do pacholąt.

Tak posuwał się ten ponury orszak ciał bezwładnych, z odrętwiałością i egoizmem rozpacz, porzucając umarłych, umierających, opuszczając samych siebie, odrzucając nieraz życie, które im chciałeś powrócić, odpychając nieraz tykwe z wodą, słowami:

— Daj mi pokój, chcę umrzeć!

W ten sposób cała armia wschodnia weszła do Szwajcaryi i rozlokowaną została po wszystkich punktach kraju.

W pierwszej chwili trudno było podjąć tyłu nowym potrzebom; trzeba było tworzyć nowe zarządy, biura. Pewnego dnia sto pięćdziesiąt tysięcy listów zasypało pocztę; ileż trzeba było trudu, aby tylu ludziom rozproszonym po wszystkich zakątkach, doręczyć wieść od rodziny. A trzeba było koniecznie; bo czy można wiedzieć, co zawiera kartka papieru oddana na pocztę? Niekiedy pamięć wierną powracającą życie; niekiedy pomoc naglącą wyczekiwaną z obawą, a w każdym razie przynajmniej wiadomość z domu, pociechę, kruszynkę powietrza z ojczyzny, dowód, że nie jesteście samotni!

Przyjęcie jakiego żołnierza doznali w Szwajcaryi, świadczy jaknajpochlebniej o charakterze jej ludu. Nigdzie nie dano im uczuć, że są u obcych; wszędzie witano gościnnie, otaczano wygodami domowego ogniska. Kobiety, lekarze, duchowni prześcigali się w pomocy, w poświęceniu, w miłości; biedacy składali grosz wdowi na ołtarzu nieszczęścia.

Od pierwszej chwili, podczas owej oplakaniej defilady, tłum zalegał drogi i wpychał żołnierzom żywność, cygara, napoje. Ludność otworzyła wszystkie swoje wrota: domy, spichlerze, stajnie; biedni ludzie odstępowali jedyną swą izby i przenosili się do sąsiadów; kobiety zdejmowały obuwie, osłaniały niem zziębłe nogi żołnierzy i same bosy wracały po śniegu do domów.

Najpiękniejszy przykład dał Neufchâtel; w jednej chwili całe miasto zalane zostało działami, wozami, kołami i ludźmi

OBRAZ JERZEGO PAPPERIT.



POD CIEŻARZEM KRZYŻA.